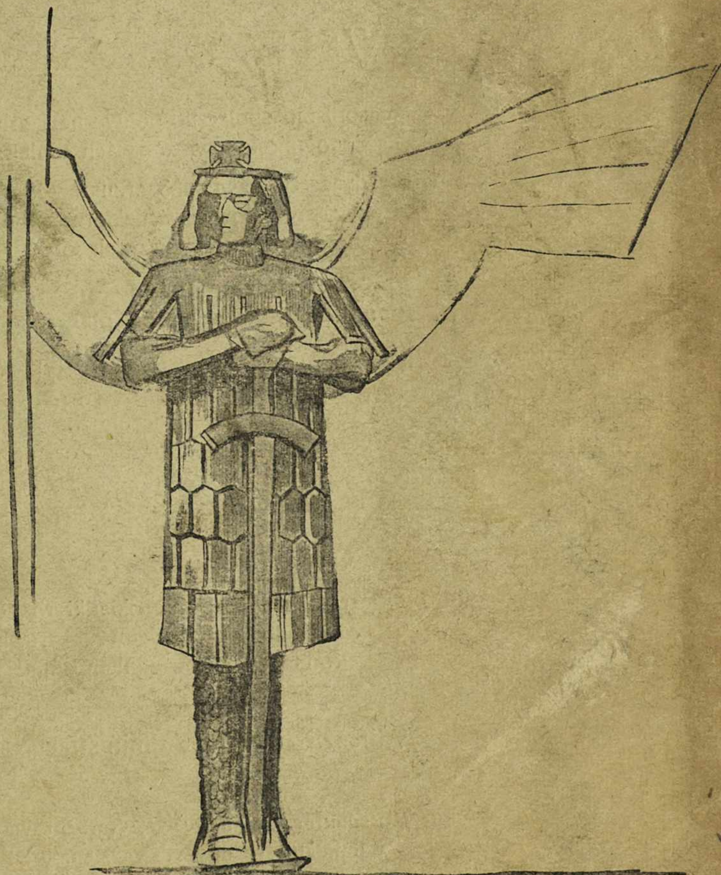
Witeź

ROCZNIK I. ZESZYT 5.

d. 1 kwietnia 1908 r.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA
w Warszawie, przy ulicy Książęcej
Nr. 6 (tel. 9-03).

Redaktor i wydawca:
H. St PYTLIŃSKI



Rys. St. Wyspiański

WITEŹ

czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca w zeszytach niniejszego formatu —

każdy zeszyt zawiera 3 arkusze (48 stron) druku — zamiast dwóch zeszytów styczniowych niektóre z późniejszych są odpowiednio zwiększane (prenumerata liczy się od 1 stycznia).

Dotychczas dodano na rachunek zeszytów styczniowych, ponad zwykłą objętość pisma, 2 arkusze druku (32 strony).

Prenumerata wynosi:

w Warszawie — rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2, z przesyłką pocztową — rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kp. 50; zagranicą — rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

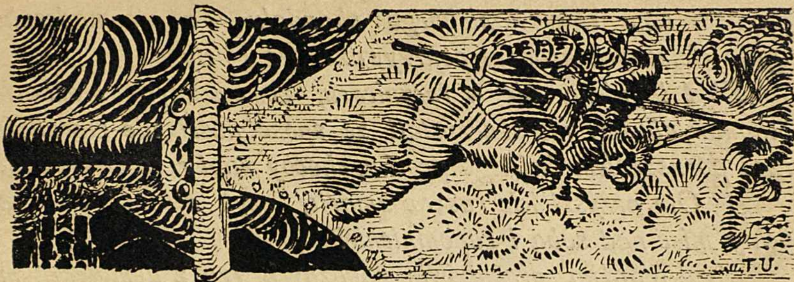
Cena ogłoszeń:

na ostatniej stronie okładki rb. 40, na przedostatniej stronie okładki rb. 35, na oddzielnych kartach (po tekście) po rb. 25—za całą stronicę, z odpowiedniem zmniejszeniem za $^1/_2$, $^1/_4$ i $^1/_8$ stronicy.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Książęca 6.**
Telefon 9-03.

Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od 5 do 6 popoł.
Administracya otwarta codziennie od 11 rano do 5 popołudniu

Cena zeszytu 5-go: kop. 40, cent. 65, m. 1 fen. 10, fr. 1 c. 25.



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 5
Warszawa, 1 kwietnia 1908 r.

To, co wyrzekł niegdyś Słowacki o losie swojej poezyi, że „jak dusza Anhellego, napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami,"—mógłby powtórzyć dziś raz jeszcze.

Syn pieśni, syn królewski — w oczach ogółu stoi dopiero na stopniach należnego mu tronu, mówiąc z zadawnioną goryczą:

I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne,
Ja, co mam także kraj łąk pełen kwietnych:
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
I która także mnie kochać powinna!

Nie zaschła jeszcze sina rana pamięci o wstrętnym człowieku, który szarpał jego płaszcz niewyżebrany i otrzymał za to od najpoważniejszej instytucyi polskiej nagrodę, nie prze-



brzmiało echo tego haniebnego skandalu — a oto nadeszła wigilia cielesnych urodzin pokrzywdzonego Poety.

Zbyt lubujemy się w rocznicach, zewnętrznych blaskach obchodów, abyśmy nie skorzystali ze sposobności, nie zawahali przed poruszeniem świętego prochu, choćby miał rzec ze zgrozą:

— Oto przyszliście ruszać umarłe; czyż niedość trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

Myśl trwożna prawdziwie pobożnych, czy z dostatecznym pietyzmem zbliżamy się do tych popiołów, czy zostaną przyjęte przez naród serdecznemi łzami, czy pochód tej trumny wywoła dreszcz święty entuzyazmu, szeroki, niezapomniany, czy pogrzeb ten wypływa z rzeczywistej, nieugaszonej tęsknoty, czy jest to istotnie ostatnia resztka, która jeszcze nie stała się naszą, — nie zyska posłuchu.

Data stu lat jest zbyt ponętna dla jubileuszowców, by mogli nie wyzyskać uroczystości w całej pełni.

Ostatni proch najświętszych spocznie w kraju ojczystym, zapewne w Krakowie, być może na Wawelu.

Warszawie, gorącemu sercu Polski, pozostanie prawo i chęć wzniesienia pomnika, wyrażenia widomym znakiem hołdu i czci dla twórcy Króla Ducha.

Czemże ma być ten pomnik? Kolumnową figurą, kopcem, sarkofagiem?

Wyraźną wskazówkę znajdujemy w dziełach poety:

> *Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa*
> *Mogły stać nagle indywiduami,*
> *Gdyby ojczyzną był język i mowa:*
> *Posągby mój stał, stworzony głoskami*
> *Z napisem patri patriae!...*

O posągu żywej mowy mówi Słowacki, taki pomnik mu się należy, a zrealizować się daje jedynie przez teatr.

Teatr architektonicznie piękny, ze składek powszechnych, twórczym wysiłkiem artystów sztuki plastycznej winien być Mu wzniesiony i poświęcony przedewszystkiem kultowi Poety, świątynią, w którejby przemawiał do tłumów językiem, co

...ze słonecznej miłości był wzięty,
Nią złoty... gdy się zniżał malowany —
Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.

Taki posąg Imienia Słowackiego stałby się żywą, ciągle działającą instytucyą, najskuteczniej rozsławiającą Jego Imię, szerzycielem Jego ducha w narodzie, potężnym środkiem tego głównego celu, o który najsilniej chodzi.

Z takiego teatru płynęłaby nieprzepartą falą w naród ta siła fatalna, która zjadaczy chleba w aniołów przerobi.

Przez pomnik ten poznałaby Ojczyzna drugą osobę boga swej trójcy świętej, ujrzałaby Ją w całym przepychu i majestacie i pozyskała wreszcie dumne prawo powiedzieć Mu, jak Eloe Anhellemu:

— To ciało do mnie należy, i to serce mojem było —
a popiołom Jego, bez względu na to, gdzie legną:
— Nie skarżcie się, lecz śpijcie!

Redakcya)*

**) Komitet obchodu jubileuszu Słowackiego poruszył sprawę budowy teatru imienia Poety. Solidaryzując się z tym projektem, redakcya pisma naszego poświęca owej sprawie artykuł powyższy.*





MARYAN ZBROWSKI

O tworzeniu ojczyzny

„Da mihi pennas uti columbae,
„Et volabo et requiescam".

I znowu młot gwałtu i bicz szyderstwa nad rozkoronowaną głową narodu!

— „Wyważę was żeleźcem prawa z ziemi ojców, jak się wyważa kamień, leżący wpoprzek drogi" — grozi gwałt.

— „Uznamy was za obywateli, gdy wy uznacie za zaszczyt być obywatelami naszymi" — świszcze szyderstwo.

Słyszymy i rozumiemy treść tych słów, która jest: „wyrzeczcie się ojczyzny"...

Słyszymy i odpowiadamy: — „Nie" —

Nic więcej —

A odpowiedź tę dają nietylko te części polskiego narodu, przeciwko którym nastawione są ostrza gwałtu i szyderstwa, — ale cały naród widzialny i niewidzialny ze wszystkich kątów ziemi, z chałup i dworów, z fabryk i kościołów, z grobów i świetlic, z ksiąg, z podartych chorągwi—cały naród, który ma jedno Serce—Ojczyznę, jedną Wolę — Ojczyznę, jedną Duszę — Ojczyznę, a dziś jedno to żołnierskie — „Nie!" — Ojczyznę, tę samą, którą wrogowie, jako upio-

ra nieustannie widzą leżącą z „oczyma otwartemi w grobie" i byt jej ciągłem przerażeniem swojem stwierdzają—

A gdy mówią nam — „umarła" — i tłumaczą, że dla własnego dobra powinniśmy się wyrzec poćwiartowanego trupa, tedy pytamy: któż to ostrzy żeleźce praw przeciwko trupom?...

O Ojczyźnie chcę mówić i o godności naszej—mówić, nie jako człowiek, mający szczególne do mówienia prawo, bo prawa takiego nie posiadam, ale jako jeden zpośród miliona. Nadeszła bowiem godzina takiego niebezpieczeństwa, jakiego może nie bywało nigdy —

Głazy zatracenia toczą się na nas, i, jeżeli w samych sobie nie znajdziemy mocy odparcia i wytrwania, — biada! — Ale największe niebezpieczeństwo tkwi w nas samych.

Mieć Ojczyznę — znaczy nieustannie ją tworzyć. Ta zdolność w nas zmalała. Byliśmy skałą nadbrzeżną, czołem niegdyś obróconą na gwiazdy i nawałnice — Ale gdy rozsadzono skałę i minął czas mały — mały dla duszy— skała zgodziła się z pęknięciem swojem i stała się domem leporidów — małych świętokradców i poufalców — którzy ważą się mówić: „kocham tę moją Polskę", a nie wiedzą, iż miłować ojczyznę znaczy nie nachylać jej świętej głowy do swojej piersi, ale urastać i rozszerzać się do jej nieobjętości i tak się w niej zatracić, aby samemu czuć się ojczyzną. To największe niebezpieczeństwo, klęskę najgłębiej sięgającą przedewszystkiem wyczuć musimy — Musimy niemiłosiernemi, a jednak miłującemi najwieczniej oczyma prawdy przewiercić do dna serca własne i dobyć z nich krzyk: „żyjemy i mamy wolę żyć!"

Gdybyśmy tego nie uczynili lub, uczyniwszy, poczuli niemoc w sobie samych — niema ratunku, choćby na obronę naszą przeciwko młotom gwałtu i biczom szyderstwa stanęły wszystkie moce świata.

Minęły dawno jarmarki wyborcze, podczas których niczego nie oszczędzono ani od jarmarcznych potępień, ani—co gorsze—od jarmarcznych pochwał — Nie oszczędzono i ojczyzny. — Rzeczy najwyższe pochylano do samych oczu Pospolitości, aby je mogła obejrzeć, nie podnosząc się nawet na palce.

Pchły ziemne, skaczące wedle natury swojej „od wypadku do wypadku", ale niezdolne ani tworzyć, ani nawet przeczuwać zdarzeń, wyległy na powierzchnię i, puszczając na nici papierowego orła, pokrzykiwały — „Ojczyzna, ojczyzna" — i straż nad nią oddały

wężowi z głową wieprza; osądziły bowiem, że siła szczęk i zdolność do krętego czołgania się po nizinach są mocą i mądrością, które zabezpieczą godność narodu —

Z drugiej strony darły powietrze i uciskały duszę, jako krzyk chorego, ryki opętanych talmudystów społecznych: „Precz z Polską", — ryki ludzi, umęczonych od ciemności, z oczyma przekrwionemi od nieustannego patrzenia w jedną wielką starą ranę narodu.

Ale — minęło to wszystko. Opadły fontanny błota i pustych słów — pogasły wysokie oczyszczające płomienie uniesień, bohaterstw, poświęceń i nadziei — i z nawałnicy wyłoniła się znów naga i sińcami okryta pierś narodu, nad którą młot i bicz — a niemasz puklerza. I owóż jest chwila mowy-marzenia o Ojczyźnie.

Duchy czyste i wolne, duchy gór wysokich, w których łonie żywioły ziemi w dyament krzepną, zjawcie się — Wszak ona to — Ojczyzna — jest nieświadomem umiłowaniem milionów, krwawą legiendą pobitych rycerzy, dumą poniżonych, skrzydłem wzlatujących wzwyż — Imię jej, szeptane w skrytości przez nieskończony dla serca różaniec lat, nizane, jako okrwawiona perła na sznur hańby, jest imieniem rozkoronowanego boga, jest podziemnym grzmotem tłumionego gniewu, wysoką gwiazdą nadziei, tajemnym znakiem, po którym poznają się nieznajomi — jest trzaskaniem łamanych w rozpaczy rąk, jest wściekłością samobiczowania i nawałnicą ognia, zdzierającego z serc rdzę samolubstwa, jest imieniem rzeczy najgłębszych i najszczytniejszych, które wykrwawić i wyśpiewać zdoła ze siebie dusza ukrzyżowanego rycerza.

Dziś — o, rycerzu ukrzyżowany! — nadeszło nowe niebezpieczeństwo: krzyż stał się tronem boleści i nawyknieniem i ubezpieczeniem przed nowym bólem, a dla wielu—nazbyt wielu—przyzwoleniem kłamstwa i lenistwa — Musisz więc zdobyć się na nowe bohaterstwo: uśmiechnąć się na krzyżu uśmiechem obudzonego boga, spłonąć rumieńcem woli i nadziei i wypowiedzieć głośno słowo woli i nadziei nowego życia — musisz teraz właśnie, gdy młot i bicz nad obnażoną piersią, a niemasz puklerza.

Ale czy zdobędziesz się na to? — Ty — to my. — Czy więc my zdobędziemy się na to? Czy na naszych czołach, wybielonych w ciemnym obłoku cierpienia, mogą rozbłysnąć promienie, rozdzierające ciemność dla nowego natchnionego czynu? Czy usta nasze, posępnie

zaciśnięte przez tyle lat — wieków, zdolne są wymówić szerokie światłodźwięczne słowo nowego życia?

I co jest owym nowym czynem i nowem życiem?

Oto pytania, w których zewrzeć trzeba wszystkie moce duszy. A kto chciałby choćby sobie tylko odpowiadać na nie, a nie oczyściłby serca z małości i nie wzbudziłby w sobie myśli wzlatującej najwyżej i czucia, mającego żar płomienia i czystość źródeł leśnych, a tak bosko człowieczego, iżby każdy, choćby obcy i wrogi człowiek, zniewolony był sercem podać się ku niemu, jako ku tchnieniu wieczności, niech lepiej odwróci się od nich i szuka swoich pytań i swoich odpowiedzi w bajorkach powszedniego dnia.

Bo przeminie człowiek i pokolenie; przeminie może naród polski widzialny; ale gdybyśmy my żywi zgodzili się, że imię jego może utonąć w zapomnieniu lub istnieć, jako naczynie puste, a nie jako treść duchowa, którą wchłaniać powinny dusze innych ludów, gdyby taka myśl choćby chyłkiem przez głowy nasze przemknęła, usłyszałyby ją kości naszych pobitych rycerzy, leżące jako gwiazdy podziemne po znanych i nieznanych mogiłach, i wstałyby i wyparłyby się nas, i wygnałyby nas z ojczyzny prawem stokroć silniejszem, niż prawo przemocy, które przeciwko nam kuje wróg — jedynem i słusznem prawem ducha.

Ojczyzna — dusza duszy każdego z nas — jest wcieloną duszą narodu, odradzającą się i poznającą siebie w pokoleniach, nieustannie twórczą, zdobywającą kształty widome i rozdzierającą je, jako płótno namiotów, gdy stały się zbyt ciasne. Wszystko, co z pracy jej i nieustannego rozrostu poprzez wieki widzialnem zostaje, jest jej znakiem — posągiem chwili, w której boskotwórczą żądzę życia na glinę rzeczy i zdarzeń wywarła, czując, gdy dzieło krzepło w kształt, że „jeszcze nie to“, jako to muszą czuć prawdziwi twórcy. Jej więc znakiem i ofiarą jej boskiego gwałtu jest forma polityczna, prawo, język, obyczaj, obszar ziemi.

Jeżeli te jej widome kształty miłujemy, gdyż musimy i chcemy ją mieć dotykalną dla oczu naszych, bo taka jest nasza natura, wiedzmy, że miłujemy nieśmiertelną duszę narodu — macierz i płód naszych własnych dusz.

Wnijdźmy na tę wieżycę myśli bez strachu, że ojczyzna stanie się

obłokiem, który wiatr rozwieje. Jest coś wiecznego w obłoku—a tylko z wysokich miejsc widzi się i czuje całość.

Gdy na wyżynie zogniskujemy w sobie myśl przepojoną światłem najgłębszego i najprostszego czucia ojczyzny, wtedy nietylko usprawiedliwioną i naszą stanie się cała jej przeszłość, ale wytryśnie w nas wysoko bijące źródło jej przyszłości, którą wyczujemy, jako własną naszą przyszłość.

Ojczyzna nie jest państwem, bo nikt i nigdy nie miłował państwa. Dla wyzwolonego w sobie człowieka jest ono tylko złem koniecznem, jest zasłaniającemi dal ścianami budynku, który istnieje dla tego tylko, że istnieją złodzieje i zbóje.

Ojczyzna nie jest obszarem ziemi, określonym słupami i rowami granicznymi, bo nikt nie czuje: „moja ojczyzna jest do tego słupa i do tego rowu". Nie jest ona także posiadaną ziemią, bo jakże mogliby umierać za ojczyznę ci, którzy nie posiadają i nie mogą nawet marzyć o posiadaniu ziemi, — a z drugiej strony, czemuż między gubicielami i zdrajcami ojczyzny było najwięcej tych, którzy posiadali wiele ziemi? Wreszcie tu właśnie wolno użyć argumentu serca: można być na żywej ziemi ojczystej i czuć trumienną obcość, ale można poczuć żywy i nieodparty oddech ojczyzny, idący z jakiejś ubogiej mogiły na obcej ziemi i pośród obcych ludzi — Mamy takie mogiły!

Ojczyzna nie jest *jakąś* religią, ani tembardziej *jakiemś* wyznaniem, bo religię lub wyznanie można zmienić lub odrzucić, nie zmieniając lub odrzucając ojczyzny.

Nie jest ona językiem, bo gdyby język nie był żywem narzędziem duszy, strzałą na jej cięciwie, godzącą w rzeczy najdroższe i najtajniejsze, a których określić niepodobna, byłby jako las ściętych drzew.

Ojczyzna nie jest prawem lub zbiorem praw, prawo bowiem jest utrwaloną granicą wolności swego czasu — ale gdy minął czas, granica musi być złamaną.

Nie jest też ojczyzna liczbą ludzi, bo gdyby wojna lub mór wytraciły połowę narodu, pozostali nie mieliby tylko pół ojczyzny.

Nie jest więc ojczyzna żadną z tych rzeczy, jako czyn lub słowo nie jest człowiekiem, ale jest treścią ich zespołu — treścią, która może rozrastać się do nieskończoności i kształtować niezliczone objawy, wedle natury swej.

Ojczyzna jest w obszarze ziemi, którą naród wziął w posiadanie

i wlał w nią pot i krew swoją. Jest w religii, o ile naród stworzył religię własną, czy przetworzył cudzą, symbolizując w niej własne pożądanie wieczności i ponadżyciowej prawdy. Jest w państwie, jeżeli je naród buduje dla siebie i wedle potrzeb swoich, jako dworzec mieszkalny, a kładzie się u progu jego na straży przed złodziejem i zbójem. Jest i w języku, bo on to — istność nieuchwytna i żywa, płynąca jako rzeka ze źródlisk życia narodu—odbija w sobie wszystko, co w duszy narodowej trwało, wskazuje na pierwsze żywiołowe jej ruchy i zetknięcia się z naturą. Ojczyzna jest wreszcie i w prawie i w obyczaju, jeżeli prawo i obyczaj są naturalną groblą przymierza ścierających się fal narodowego życia. — Jest więc w zespole wszystkich tych rzeczy i w nieskończonej ilości innych, jako dusza tkwi w nieskończonej ilości zewnętrznych objawów swoich. Ojczyzna jest symbolem duszy narodowej — owego bytu, który się rodzi ze współistnienia przez wieki dusz ludzi i rzeczy na danem miejscu, rozwija się i utrwala w dziełach i szuka ustawicznie nowego tworzywa, któreby kształtować mógł. Tak tylko można stwierdzić i wytłumaczyć, dlaczego odczuwamy istnienie ojczyzny, jako ciągłej i jednej poprzez wieki i nieznane nam pokolenia przodków, pomimo zmian bytowania politycznego, rozdarcia ziemi, odmiany praw, języka, religii, obyczaju; dlaczego nosimy ją w sobie, jako skarb, i istniejemy w niej, jako w łonie matki; dlaczego wreszcie odczuwamy jej przeszłość, jako ustawicznie w nas bytującą, a teraźniejszość jej i przyszłość mamy za własną teraźniejszość i przyszłość. To właśnie wznosi nas ku największemu i najszczytniejszemu obowiązkowi tworzenia ojczyzny przez potęgowanie życia dusz własnych.

Życie duszy jest mnożeniem i potęgowaniem się jej pożądań i wysiłków ku stworzeniu własnego dzieła, któreby ją najpełniej wyraziło, oraz umiłowaniem cudzych wysiłków ku stworzeniu najpełniejszego dzieła — Gdzie niema tych pożądań i tego umiłowania, niema duszy —

Gdy się mówi o miłości ojczyzny odnośnie do przeszłości, co jest przedmiotem miłości? Czy pamiątki bezładu, bezsiły, zimnego wyzysku, uciemiężeń, zdrad? Jedne z nich usprawiedliwiamy pojęciami czasu lub koniecznością, na wspomnienie innych ogarnia nas niewczesny wstyd lub gniew, tak, iż uczuwamy, jakoby na nas spadała wina i hańba za nie i wyłączamy je z pojęcia ojczyzny — Gdy serce miłośnie zwra-

ca się ku przeszłości, widzi to tylko, co było wyrazem potęgi i piękna, wysiłkiem ku najpełniejszemu wyzwoleniu treści życia narodu. Miłujemy twórczą moc narodowego ducha, który w wysiłkach tych prężył ramiona, wczuwamy się w sam moment twórczy i przeżywamy go w wyobraźni, jakgdybyśmy sami twórcami jego byli —

Z tych to momentów twórczych, jako z gwiazd, pleciemy sercem wieniec na czoło ojczyzny. I dźwiga się wtedy przed nami jej wielki cień — cień orła-rycerza — z mieczem we władnej dłoni, ze skrzydły nieustannie gotowemi do lotu ku szczytom ducha — A gdy ona taka jawi się oczom naszym, błogosławione są źrenice ich i stają się jako źrenice wód, na które padła zorza — Wtedy dopiero uczuwamy dumę naszego istnienia — dumę narodową — i widzimy drogę przyszłości, pomimo że... „połamany leży wóz nasz— wóz bojowy". Takie umiłowanie ojczyzny mieli najlepsi z naszych ojców. Gdy oni mówili „ojczyzna", to wyraz ten żył całem natężeniem duszy, palił się i grzmiał, a z nich tryskały moce prorockie, wichury natchnień, które wiać będą poprzez ludzkość, póki ona istnieć będzie, albowiem nie ginie nic z dziedzictwa ducha.

Wszelka inna miłość ojczyzny jest czczym wyrazem, błahem upodobaniem zbieracza, zapełniającego daremnie przepaść własnej pustki; „niczem", które zobowiązywać może tylko do „niczego", co nie może być źródłem czynu, ani nawet „arką przymierza między dawnemi i nowemi laty"; co nie usprawiedliwia konieczności istnienia narodu, jako dobra, co wreszcie pozwala na podłość i poniżanie się, a z ojczyzny czyni „pobielany grób".

Jedna tylko istnieje miłość: twórcza, czynna — Wtedy tylko ma się ojczyznę w przeszłości, gdy się ją tworzy w teraźniejszości, więc gdy odrębne jej oblicze staje się koniecznem, jako pomnożenie bogactwa ludzkości.

Myśl, że odrębność narodów musi być startą dla dobra ludzkości, jest równie bezpłodna i prowadząca do bezpłodności, a więc szkodliwa, jak myśl, że naród może istnieć bez świadomości ogólnoludzkich celów. Wszystko, co jest, ma prawo istnienia, ale pod warunkiem, że istnieniem swojem mnoży i rozwija życie. Śmiertelnym grzechem ludzi i ludów jest pasorzytnictwo w jakiejkolwiek formie, za które zawsze przychodzi kara: rozkład i zatracenie. Nie pomoże tu ani obszar państwa, ani liczba ludności, ani nagromadzone góry zło-

ta i oręża — Im więcej było pozorów potęgi, tem haniebniejszy jest upadek. Brzemię idei trzeba uczuć w sobie, aby iść lekko ku przyszłości. Ludzkość ma wspólny cel, a każdy naród dąży do niego — musi dążyć, jeżeli ma żyć. — Tylko drogę dążeń swoich wedle natury własnej żłobi. Odrębność dróg i kształtów jest stwierdzeniem przez naród odrębności swego „ja", jest dumą jego i bogactwem ludzkości— Tem jednak, dla czego się żłobi drogi, co jest treścią kształtów i nadaje im wagę, może być tylko ideał wszechludzki — potęga życia. Wzloty ku niemu są wzlotami potęgi—Odejście jest odejściem w grób—

Naród, który posiada potęgę twórczą, panuje, równie jak człowiek twórczy panuje nad gromadą ludzi biernych, ale panowanie przychodzi wtedy samo przez się, jako wykonanie prawa naturalnego i jest dobrodziejstwem dla opanowanych, bowiem niesie im życie. Gdy jednak panowanie jest tylko skutkiem gry lub materyalnej przemocy, jest zbrodnią, z którą walczyć trzeba w imię człowieka do ostatniego tchu, jako ze złem wszechludzkiem.

Naród twórczy utrwala ojczyznę i tworzy ją nieustannie wewnątrz i zewnątrz siebie. Naród, który przestał być twórczym, musi stracić ojczyznę, chociażby jeszcze posiadał własną ziemię i prawo, i język, i obyczaj, bo wszystko to rozpaść się musi za lada dotknięciem, jako skorupa niewypełniona niczem.

Nad nami wzniesiony jest młot, który nie dotknie, ale uderzy w opokę narodu — w ziemię. Cóż czynić, gdy niemożna już odwrócić uderzenia?

Sienkiewicz rozpisał listy do znanych ludzi Europy i otrzymuje grzeczne „wyrazy oburzenia". Gdy nadejdzie ostatnia odpowiedź, z nią skończy się „oburzenie". Zapomniano bowiem, że znani ludzie Europy są owocem tejże Europy, która nietylko wydaje, ale i pielęgnuje „patryotów" pruskich, a z tej nowej łaskawości opinii śmieje się. Zresztą, nie wiedzieli pewno owi znani, kto żądał od nich potępienia gwałtu: czy Sienkiewicz—Jarema, dzierżący miecz i głownię, na której skwierczy chłopskie ścierwo; czy Sienkiewicz—Połaniecki — Jazon perkalowego runa, otwierający *conto* Panu Bogu dla porządku w interesach osobistych; czy Sienkiewicz — Płoszowski, który nie rozumie, dlaczego miłowaćby należało człowieka, gdyby Chrystus tak nie był kazał, i po „godzinach sali" wypatruje za obłokami „jakiejś wielkiej sutanny", do której tulą się umęczone dusze. — Musieli wszakże wiedzieć, że nie

mówił do nich ten, ktoby miłował człowieka dla niego samego, i ktoby miał moc, a choćby pożądanie rozszerzenia ojczyzny na cały świat duszy i czułby ojczyznę wszędzie, gdzie człowiek walczy o wolność.

Okrzyknięto bojkot wytwórczości niemieckiej. Przez zemstę. Nie wierzę w zemstę. Nie jest ona nigdy twórcza i nie może być trwałą.— Nie wierzę w ten nowy bojkot, bowiem kto tak gruntownie, jak nasi szlachcice, księża i mieszczuchy, zbojkotował niemiecką naukę, sztukę, dążność do samopomocy społecznej i oświaty narodu — czyli istotną twórczość niemiecką; kto tak sumiennie i wytrwale bojkotuje najwyższe objawy własnej twórczości; kto tak, jak oni, uznając zasadę oszczędności, stosuje ją przedewszystkiem i może całkowicie przez zmniejszanie pragnień i nasyceń własnej duszy i dusz innych,—temu już nie starczy siły na bojkot niemieckiej bawełny, lub piwa.

Walka ekonomiczna i kulturalna jest rzeczą elementarnie konieczną nietylko z narodem wrogim, ale nawet z przyjaznym. Musi jednak wypływać z istnienia i poczucia własnych sił wytwórczych. Jeżeli tych sił i ich poczucia niema, hasło bojkotu niemczyzny jest tylko kapryśnem pokrzykiwaniem impotensa, a jego skutkiem będzie nowy wstyd. Wreszcie gdyby skutkiem bojkotu wytwórczości niemieckiej miało być tylko wprowadzanie wytwórczości angielskiej lub francuskiej czy innej obcej, a nie własnej, naród nie zyska nic, a ojczyzna jego będzie istotnie zmniejszona, bowiem w dziele rąk narodu tkwi dusza narodu. Trzeba wydobycia z siebie i zwarcia wszystkich sił. Trzeba męskiego, potężnego czynu i wytrwania na wszystkich polach narodowego życia — Trzeba mnożenia i rozszerzania tych pól za wszelką cenę. Trzeba budzenia w sobie głębokich pragnień i umiłowań, i przekonania, że im więcej ma ich naród i człowiek, tem jest potężniejszy. Trzeba wreszcie zrozumieć, skąd płynie moc i prawo do walki politycznej i ekonomicznej.

Nietylko chlebem, bagnetem i traktatem żyje naród — Chleb *kogoś* żywi, bagnet *kogoś* broni, traktat *komuś* zapewnia prawo. Trzeba być *kimś*. Kto się powołuje na traktaty i wielkość ojców i stąd wywodzi prawo do ojczyzny, ale sam nie jest tym, kto ma własną wielkość i czuje prawo żądania we własnem ludzkiem imieniu, jest tylko chełpliwym i śmiesznym nędzarzem —

W człowieku — twórcy własnej prawdy — żyje ojczyzna.

Trzeba wyzwolić w Polsce wiecznego człowieka, który czuje dostatecznie wagę własnego istnienia, aby mówić i czynić we własnem

imieniu. Już się narodził, ale musi się kryć, i, gdy mówi, mowa jego jest urywana, jak mowa szalonego —

Wysłuchać go trzeba.

— „Uszanujcie człowieka“—woła wieczny człowiek—„To żądanie moje jest treścią dążeń całego lepszego świata — Twórzcie w sobie pełnego człowieka — Niech serce jego stanie się czujnem na każdy upadek i tryumf życia — Niechaj miłuje cudzą duszę dla niej samej — Niechaj wyzwoli ducha ziemi i w radości słońca go skąpie i uczci go — Niechaj w nim kipi gniew na każdy gwałt, gdziekolwiekby się stał — Niech nie poniża i nie będzie jałmużnikiem, ale współczującym i współdziałającym bratem—Niechaj się czuje obywatelem świata — Niechaj nie kłamie i dzieci swoich kłamać nie uczy, bo kłamstwo jest rzeczą podłych i tchórzów — Niechaj wie, że umiłowanie ojczyzny jest umiłowaniem prawdy, a ojczyzna niechaj mu się stanie własnem skrzydłem i brzemieniem. Jestem Prometeuszem, przykutym do skały cierpienia—ale nie skała, tylko wina moja jest świętością. Niechaj uczuje to naród i niech w winie Prometeusza upodoba sobie ojczyznę, a umiłuje ją jako duszę własną“.—Tak mówi wieczny człowiek.

A gdyby go spytano, co to wszystko ma do groźby niemieckiego junkra, odrzekłby znów jak szalony:

— „Dajcie duchowi memu skrzydła rozpostrzeć, jako orłowi, a podniosę się ponad głowę sępa, pożeracza trupów, i stworzę nowy naród i nową ojczyznę, które będą kość z kości dawnego narodu i dawnej ojczyzny“ —

Tak odrzekłby człowiek „szalony“, który się musi kryć.

Ale podobnie „szaleni“ mówili w Polsce zawsze, gdy nadchodziła godzina odrodzenia i tworzenia nowej ojczyzny. „Szaleni“ mówili 3-go maja. — Wtedy to naród szlachecki, a już *ludzkiemu* ustępujący miejsca, stworzył swoje ostatnie dzieło — I widać Bóg dawnych rycerzy, co chrzęstem zbroic i szabel błyskaniem gwiazdy po stepach budzili i z piersi własnych tarczę żywą wszemu krześciaństwu uczynili, dał prawnukom ich, że to ostatnie dzieło było godne —

Dziś, po stu latach, żywie naród już nierozumiejący różnicy pomiędzy szlachcicem a nieszlachcicem — ten sam choć inny naród, który musi stworzyć *swoje* dzieło.

I widać wybiła godzina, bo zaczynają mówić „szaleni“. Zrozumiej-

cie to wy wszyscy, którzy mówicie, iż znacie przeszłość i nią się chełpicie — Zrozumiejcie i weźcie wszyscy na siebie brzemię idei, aby lekko iść ku odrodzeniu. Bo jeżeli dziś, gdy wnętrzności Polski się zakolebały i ruszyło się morze ciemnego ludu, któremu byliście latarnią myśli, nie zrzucicie szarego płaszcza małości, którym was nakrył strach i nawyknienie; jeśli nie zrzucicie tego płaszcza i nie staniecie w kolisku ducha; jeśli wśród nocy współczesnego kłamstwa nie zapalicie na górach wici wolności i prawdy i w ten sposób nie dacie znać o sobie witeziom całego świata; jeśli nie zaufacie młodemu życiu i za każdym wybuchem jego będziecie bić w dzwony przerażenia; jeśli w skorupie ślimaczej—w zastygłej ślinie mięczaka—rycerskiego orła rzeźbić będziecie i pohańbicie go; jeśli serce Ojczyzny i myśl jej dziejową na małej a chytrej wadze — jako sklepikarz pieprz — ważyć będziecie, — to... jesteście narodem mięczaków i sklepikarzy, to ci, „szaleni", którzy młodości swej w podziemiach żyć kazali, aby ją uchronić od widoku tyjącego raba, którzy czoła i piersi na wichrze dawnych natchnień Ojczyzny trzymali i u gwiazd jej dusze swoje zawiesili, zawstydzą się poniżenia Ojczyzny i pójdą przeciwko wam.





GIEJOT

Dwie polityki

Między polityką mieszczaństwa a polityką klasy pracujących istnieje zasadnicza różnica. Całokształt przejawów życiowych klasy pracującej da się określić, jako polityka wynikająca z jej stałych naturalnych potrzeb, których zaspokojenie wymaga ciągłych zdobyczy, nieprzejednanej walki. W łańcuchu jej postulatów społecznych i narodowo-politycznych wyraźnie zauważyć się daje świadomość wielkości zadań, jakie na niej legły, i płynące stąd poczucie potęgi.

Politykę mieszczaństwa—przeciwnie—cechuje małoduszność, świadomość niemocy, a w ogólnej sumie codziennych jej wystąpień na arenie życia politycznego snuje się nieprzerwaną nicią ugoda.

Polityka mieszczaństwa jest polityką przystosowywania się, systemem wiecznego oportunizmu.

Te ideologiczne podstawy obu polityk wynikają z zasadniczych praw, rządzących współczesnym ustrojem gospodarczym, i znajdują głębokie umotywowanie w przejawach życiowych tego ustroju. Współczesne stosunki gospodarcze podzieliły społeczeństwo na dwa wrogie sobie odłamy — pracujących i posiadaczy, wytwarzając warunki, w których wszelkie przeobrażenia natury społecznej i politycznej, przeobrażenia pojmowane jaknajszerzej, podjęte być mogą jedynie przez lud

pracujący, który się staje najenergiczniejszą sprężyną wszelkich ruchów społecznych, dążących do radykalnych przemian w obrębie stosunków zarówno gospodarczych, jak politycznych i narodowych.

Taki stan rzeczy staje się źródłem tej mocy duchowej, jaka cechuje klasy pracujące; świadomość tego stanu jest zarazem podstawą do budowania swej odrębnej polityki—zdobyczy.

Inne stanowisko jest sfer posiadających. Troska o zachowanie przywileju posiadania czyni je bojaźliwemi w wystąpieniach masowych i sprowadza do zera wartość motoryczną tych klas w poruszeniach ludowych; w charakterze maruderów zdolne są one dążyć za niemi, dopóki łamią przeszkody zawadzające i ich życiu, ale zawsze w myśl zasady „dotąd, lecz nie dalej". Gdy zaś zaczyna się owo „dalej", o które ludowi właśnie chodzi, trąbią natychmiast do odwrotu i są gotowe zawrzeć przymierze z wczorajszym przeciwnikiem przeciw zakusom zadaleko idącego sprzymierzeńca.

To dalekie sięganie, jako przeciwstawienie polityki przystosowywania się „do zmienionych warunków bytu", nie oznacza, że klasy pracujące w swych codziennych konkretnych wystąpieniach nie powinny uwzględniać całokształtu wielorakich warunków chwili, ale są to sprawy taktyki, nie zaś programu, który nie może ulegać chwili, zmieniać co moment swych gwiazd przewodnich, zapominać o swych wielkich aspiracyach.

Uwzględniając istniejące warunki, klasa pracująca nie zapiera się swych ideałów — przeciwnie, stara się z tych warunków w myśl stałych dążeń najumiejętniej skorzystać.

Inaczej zachowuje się mieszczaństwo, które przystosowuje swe aspiracye i pożądania do przemijającej sytuacyi: gdy fala podnosi się—podnosi głowę, gdy fala opada—chowa ją, jak struś w piasek, ujawniając stale brak wiary w swe siły, brak trwałych zasad politycznego postępowania.

Te charakterystyczne cechy obu polityk szczególnej wyrazistości nabierają w naszych stosunkach.

Kilkudziesięcioletni zastój życia, o ile nie zabił wszelkiej myśli politycznej, wykoszlawił ją i wypaczył. Kilkadziesiąt lat bezwładu i bezmyślności odbiły się w fatalny sposób na myśli politycznej narodu, stwarzając płochliwe trzęsawisko, na którym wzrastały tchórzliwe teorye organiczne zarówno polityczne, jak i gospodarcze.

Myśl samoistna i odważna przeszła do tej grupy społecznej, która, zrozumiawszy swą misyę dziejową, ośmieliła się nie biernie konserwować „status quo", ale dążyć czynnie do zmian, do zdobyczy. Ona jedynie piastowała hasło wielkie, czując, iż z jej potrzeb wypływa ono, jako konieczny warunek i najpewniejsza gwarancya pełni normalnego rozwoju tkwiących w niej sił.

Przez długie lata nic nie było w stanie zachwiać tej wielkiej koncepcyi politycznej, zawierającej w sobie nietylko słuszne aspiracye szerokich mas, ale esencyę z krwi najdzielniejszych pokoleń.

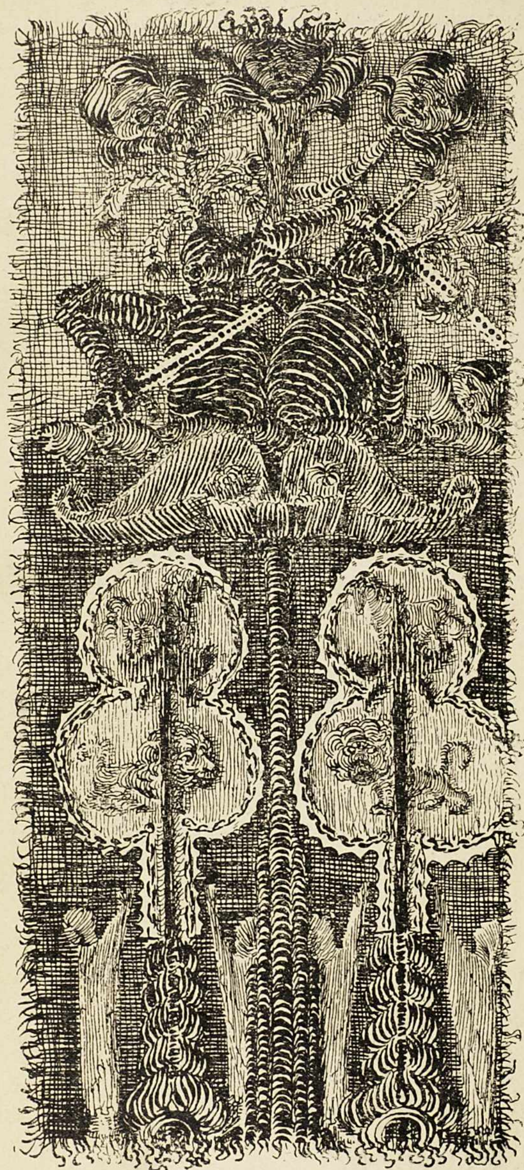
Przez długie lata nikomu z tej grupy społecznej nie przychodziła na myśl zmiana podstaw działania, zmiana polityki zdobyczy na politykę przystosowywania się do przelotnych warunków „dzisiaj", które jutro odwrócić może.

Jednakże długi okres bezwładu głęboko skaził treść naszego życia politycznego, i niełatwo go wykreślić z rachunków naszego politycznego bytowania — a raczej politycznego niebytu. Na tle tego skażenia rodzą się małoduszne pokusy zmian zasadniczych zarówno w światopoglądzie, jak i w konkretnych przejawach politycznych — pokusy, znajdujące wyraz w mętnych jeszcze enuncyacyach niektórych odłamów klasy pracującej. Zamiast polityki, wynikającej z najistotniejszych potrzeb, zaleca się politykę przystosowywania się.

Wyrzeka się szerokich aspiracyj za miskę soczewicy doraźnych korzyści, nie bacząc na to, że nietylko soczewica znikąd nie płynie, ale sama miska jest tak krucha, że zwykły kaprys potłuc ją może.

Jednostki zarażone duchem mieszczaństwa: jego bojaźliwością, poczuciem niemocy i kurczeniem się za lada zimniejszym podmuchem — schodzą krok za krokiem na grunt jego polityki oportunizmu, zupełnie racyonalnej ze stanowiska burżuazyi, ale ze stanowiska klasowego pracowników tem mniej zrozumiałej, im silniej się je podkreśla.





rys· T. Ulanowski

TAD. ULANOWSKI

Proporzec

Proporzec stary mam:
Utkany w złoty szlak,
Urwany, lecz — ten sam,
Chociaż mu drzewca brak.

„Witeziom dano znak;
„Piorunem zwarli stal...
...Ach, czemuż rąbka brak,
A może był to szal?

Szarfa! w krawacik wiąż:
Stalowy z mężem mąż
Okręcą szyję twą:
Niech się „fontaziem“ zwą!

Nad rycerzami kwiat:
Po białych liliach ślad:
A w każdej główka tkwi,
Co ma wyprute brwi...

Walkirye? Jakbyś zgadł:
Kwiat kwiatu będzie rad:
W krawacie dziewki lwie,
Co się „fontaziem“ zwie.

„Pod rycerzami łuk:
„Ostawił ci go bóg,
„I strzały, strzały dwie:
„Grotami je się zwie...

„A pośród lotnych piór
„Biały kapłanów chór
„Poskramia konie, lwy
„Obrębionymi szwy...

Masz walkę, kwiaty, łuk —
Za chwilę będziesz mógł
Starce i strzały dwie
„Fontaziem“ nazwać — lwie.

Proporcem? Nie, już nie!
To krawat, niech pan tnie!
Pod brodę szpilkę dam...
— Kawaler! ten... ten sam!



WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

V

Droga wiodła ich na poręby, na karczunki, gdzie miejscami na świeżych pleszach drżały w wietrze nieliczne oszczędzone sosny mateczne, — żałobne wytycznie popełnionego mordu. Długie cielska ociosanych kłód morążyły się wśród wrzosów. Na ugniecionych mchach bielały kałuże smolnych wiórów. Młody jagodnik strzelał nieśmiało nad mietliskami rdzawych porzuconych gałęzi.

Włóczęga przysiadł na pniaku gęsto ołzawionym brunatną żywicą.

— Psia kość! To ci narobili! Anibym poznał! — zauważył żałośnie. Spojrzał ku lasowi, który jakby się cofał w popłochu. Posłuchał w stronę, gdzie miarowo, ale zajadle stukały liczne siekiery. Wciągnął w nozdrza zapach drzewnego octu, dziegciu i zgorzelizny, lecący z polesia.

— Ani wątpić! nowosioły!.. któż inny mógłby tyle tajgi zepsuć! Nie, nie pódziemy tędy... Nie uszanują nas tam, nie!

Wsparł się na koszturze, popatrzał, pokręcił głową i poszedł w las, precz od łoskotu siekier i sinych dymów, wijących się nad rozłogiem.

— Sybirski czałdon żółty ma kałdon! To prawda!.. krew z nas przy sposobności wyssie!.. Ale znamy się z nimi jak łyse konie... Te zaś gołopięte lizołapy... niewiadomo nigdy, co i jak... Zuchelek im zgi-

nie, zachodu niewart... Zaraz wrzask uczynią do jęku ziemi... lecą za człowiekiem niemiecką milę, nie zipną... Asmodeusze!..—mamrotał, idąc szparko wskroś zarośli.

Szumski ledwie za nim podążał.

Obiegli daleko gęstwinami niebezpieczne miejsce. Gdy znowu wyszli na haliznę, czerwone słońce, jak wielkie gorejące oko, stało tuż nisko nad łanami wybujałego zboża. Młode, tu i owdzie wytryskujące pióra kłosów płonęły w jego promieniach, jak płomyki jarzących świec. Drożyną między zbożami i zasieką „okolicy", zbudowaną z potężnych, zapadłych i omszałych zwałów drzewnych, włóczędzy pomknęli ku wrotom widniejącym na drodze. Ledwie trącili odźwierze, z budy obok wyjrzała biała, kudłata i brodata głowa.

— A co to?

— Przechodnie...

Stary nakrył oczy dłonią jak daszkiem i przyjrzał im się.

— A ten... cóż taki?!

Wskazał brodą w stronę Wiktora.

— Czarna robota buryacka! Niech ich sam szatan pokocha! — odrzekł półgłosem Wasylicz.

Dziad wylazł całkiem z budy i cokolwiek rozprostował zgięte w pałąk plecy oraz barczyste ramioną. W wyblakłych oczach zatliły mu się słabe iskierki, białe szramy na czole i policzkach zarożowiły się.

— Aa! Chlizcie do chazy, poseżdońcie!.. — powiedział półgłosem.

Wiktor, który stał na przedzie, nie zrozumiał i nie ruszał się z miejsca; dopiero stary włóczęga trącił go w łokieć z pobłażliwym uśmiechem.

— Właź! Na co czekasz?

Oba dziady za jego plecami znaczące zamienili spojrzenie.

— Muchorta!

Buda była niska, ciemna, cała prawie zajęta legowiskiem ze słomy i suchych liści, przesiąknięta zapachem butwiejących łachmanów i źle strawionego chleba, Wiktorowi wydało się, że wpełznął do złodziejskiej pieczary z ludowych bajek. Wyciągnął się na ziemi, gdyż siedzieć nie było na czem, a stać niepodobna. Starcy, przykucnąwszy u wejścia, rozmawiali nawpół zrozumiałą gwarą więzienną.

Domyślił się z pochwyconych wyrazów, że włóczęga wypytuje o wieś, wywiaduje o jałmużnę i możliwość wszelkiej pożywy. Wśród klątw, wykrzykników, przekręconych rosyjskich wyrazów przewijały się znane mu z etapów „jasaszne majaki", „sary" (pieniądze), „czistiak" (chleb), „strzelać" (żebrać), „tyryć" (ukraść)...

— Śpiesz się... Aby przed nocą!..

Włóczęga porwał się do wyjścia.

— Hej! A ja? — zawołał Wiktor.

— Ty?... Ty zostań! Psy tylko swym widokiem nastraszysz, dzieci z całej wioski ściągniesz... Jak ubranie zdobędziemy, jak się „litościwą" śpiewać nauczysz... — Wtedy co innego... — zobaczymy!

— Co dwóch, to nie jeden... słusznie... zawsze więcej dadzą... To prawda... Ale teraz pożytku nie przysporzysz, jak kozioł mleka — wtrącił stróż.

— Wrócę niedługo, może ci jakie portczyny dziś jeszcze przyniosę. Zostań!.. Chyba, że chcesz swoją goliznę kobietom pokazać... hę? — dodał drwiąco włóczęga.

— He, he, he!.. Łase na to tutejsze baby, och, łase... Tylko, że wszystko chciałyby na darmochę — zaśmiał się stróż.

Wyszli i jeszcze z sobą coś szeptali na drodze. Wiktor nasłuchywał zaniepokojony i niemile dotknięty.

— Cóż, wróci, czy nie wróci? — spytał, gdy stróż ukazał się we drzwiach.

— Co nie ma wrócić? Chyba, że źle „osiodła"!... Wtedy i ciebie, brachu, wezmą... Nasza wieś starodawna...

— Dawno służysz?

— Tu, przy tych wrotach, piąty rok waruję...

— Nietutejszy?...

— Nie, jam daleki, rosiejski...

Umilkł i zaczął popiół rozgarniać na niskiem palenisku pod okopconym otworem dymnika.

Wnętrze budy nasiąkało zwolna gęstym, ciężkim mrokiem. Przez dziury i szczeliny dachu wpadały ogniste smugi zachodu, niby zbroczone krwią dzidy szturmującego wroga. Przy blasku ich stary systematycznie układał szczapy, drewienka, wiórki, niecił ogień i gadał:

— Moja ziemia południowa, pobrzeż ciepłego Azowskiego morza, od Kierczy, od Tuzły... A służyłem niegdyś w wojsku, w samej

stolicy, w gwardyi, w Siemionowskim pułku. Czasy to czasy! nie to, co teraz! Kochano nas, ale nie pieszczono, oj nie! Za byle co uczono rozumu... I nabrałem się ja tych pałek, pamięcią nawet nie obliczę... Bardzo mię lubił nasz pułkownik i rotny też mię lubił... Jak tylko co trudnego, zaraz ja! Pamiętam, raz w pałacu, nie wiem już którego księcia bal dawano... dla samego oficerstwa. W sali wielgachnej jasno, niby samo słońce tam chodzi... Pod ścianami, po rogach postumenty, dalej sofy, fotele, dokoła kwiaty... A na postumentach dziewki gołe, ale żywe... Ładne takie, stoją, nie ruszą się... nie dyszą. Gapili się panowie, kwiaty wtykali, gdzie się dało, rżeli jak konie... Zwyczajnie wojskowi ludzie!.. Aż jedna spadła... Co tu robić? pustego miejsca niemożna zostawić. Jak je zapełnić? Rada w radę... Aż mój pułkownik woła na mnie — na straży stałem u podwoi. Zluzowali mię... Każe zdejmować amunicyę, ubranie... gołemu włazić na słup... Byłem biały jak kość, gładki jak szkło, rosły jak sośniak... Brwi niby dwa sobole, wąsy jak skrzydła jaskółcze... rumieniec na policzkach jak zorza niegasnąca... To się zebrało panów i cywilów przedemną — cały tabun, więcej, niż przed dziewkami. Winem mię częstowali z własnych kieliszków... Ech, pokazaćby go naszym paniom! — gadają. Potem kazali stać na słupie z najpiękniejszą dziewką. „Adam i Ewa" — powiadają. Żądają, żeby obejmować ją i pod sobą dusić... Pieniędzy mi dali... Były czasy!.. Byli panowie i żołnierze!... Umieli żyć!..."

Rozczesywał krzywymi palcami swą mleczną brodę, która mu gęsto porastała twarz aż po szpary oczu, szeptał w zamyśleniu, patrząc na ogień i rozdymając poszarpane przez kata nozdrza.

— Czasy... czasy... grzechy nasze... głupi byłem... od szczęścia swego uciekłem... Wolności zachciałem... A gdzie ona jest... wolność? Towarzyszy zebrałem, hulałem, rabowałem, po kolana nieraz we krwi i złocie brodziłem i może nawet człowiekiem bym został, ale zgubiła mię słabość serca...

Już wtedy szeroko o mnie wieści poszły, obławy urządzano, okup za głowę naznaczono... Towarzyszy wyłapano... Hulałem za Wołgą. Postanowiłem uciec z „Rosiei" na Sybir i ustatkować się. Pieniędzy miałem jeszcze trochę... Kupiłem sanie-poszwy, konika gniadego... Beczułkę wódki włożyłem pod siedzenie, chleba bochen, kiełbasy... Z miasta, gdziem się krył, wyjechałem w „buran" taki, żem konia przed so-

bą nie widział... Liczyłem, że znam okolicę, jak matkę rodzoną, i przeliczyłem się... Ciemno było... nie wiadomo, czy noc czy dzień... Sanki jak łódź pływają po wydmiskach... Opamiętałem się rychło, żem zbłądził... Ale zamiast szukać drogi i po śniegu brodzić, od czego się w taki czas siły jeno traci, odzież macza i marznie, układłem się na dno sani, nakryłem derą, a gniademu dałem wolny paszport, niech szuka wedle swej myśli... Czuwam nie czuwam, ale też i nie śpię!.. Nagle zatrzymały się sanie, uderzyły o coś hołoble... Uniosłem derę, patrzę... Przedmiot czarny, wielki jak miejska kamienica... Gniady skubie zeń i źre... Stóg... A obok drugi koń i drugie sanie, jota w jotę jak moje... Na saniach siedzi figura... Podchodzę, pytam. Milczy. Biorę za rękaw, nie rusza się... Twarz cała zawiana śniegiem. Na kożuchu i czapce skorupa lodu... Chciałem bliżej popatrzeć, kogo Bóg dał... Czapkę z czoła zsuwam... Figura leci w tył, jak nieżywa... Dobryś!.. Chwyciłem ją delikatnie na ręce i do moich ciepłych sani wwaliłem... Poszedłem dokoła stogu poszukać, czy niema więcej towarzyszy... Pusto... Tylko zamieć wije i wije dokoła stogu w ciemnościach białe nici, niby kądziel dyabelską... Chciałem stóg zapalić, aby się ogrzać, ale uląkłem się... Może gdzie blisko „zaimka"... Spostrzegą... na ślad trafią... Czerniało coś niedaleko... Przywiązałem cudzego konia do moich sani. Pojechałem ku tej czarniawie... Był to las. Wiatr tu mniej dokuczał... Znalazłem zaciszną wądolinę... Odszukałem suchą sosnę złamaną... Siekierę zawszem z sobą woził... Naszczypałem trzasek, rozpaliłem wielkie ognisko... Zrobiło się ciepło... Śnieg wokoło rozmiotłem, udeptałem, gałązek jodłowych na dno nakładłem — jedną z „poszni" saniowych postawiłem bokiem od wiatru, niby szałas. Wtedy figurę z moich sani wyciągnąłem, z śniegu oczyściłem, na gałązkach położyłem, zacząłem zwolna ją ze szmat rozpowijać... Ciekawym, kogo Bóg dał... Dziwo!.. Dziewczyna... młodziutka, dostatnio ubrana... Leży, ani się ruszy, nie dychnie, oczy zamknięte... niby śpi... Biała taka, ładna, niby kwiatuszek ścięty... Zęby równiutko z pod zaciętych ust błyskają, na rzęsach szron topnieje, niby łzy... Wyjąłem beczułeczkę z wódką i przez słomkę zacząłem jej z ust do ust lać ciepłą gorzałkę...

Odetchła cichutko... Ostrożnie jąłem zdzierać z niej zlodowaciały kożuch, mokre przemarzłe obuwie, pończochy... Roztarłem nogi, ręce... Pocieplały... A takie były cienkie, krągłe jak badylki, a takie były mię-

kie jak atłas... wiadomo — dziewczyna! Zwlokłem resztę przesiąkniętego śniegiem ubrania... w jednej została koszulinie... Widzę, że budzi się... Zaróżowiły się policzki, drgnęły rzęsy. Rączyną chwyciła giezło pod szyją, nie daje tasiemek rozwiązać... „Głupia, ciało pomrozisz... trza wysuszyć" — mówię. „Nie, nie!" I nagle oczy otwarła i z taką trwogą na mnie spojrzała, jakby umrzeć zaraz miała... Znów jej usta zbielały... drży!.. Litość mię wzięła... Odsunąłem się, własnym kożuchem ją nakryłem, pytam, co i jak... Wyjechała z miasta do ciotki niedaleko, i wichura ją zamiotła. Opowiada składnie, co w domu i jak... Zupełnie najmłodsza moja siostrzyczka i nawet podobna... Takież oczy szare i ciemne rzęsy nad niemi i brwi... Zupełnie zgłupiałem... Zamiast pobawić się z nią, jak przystało wedle naszego zakonu, a potem rozedrzeć... Gawędzę z nią, rozpytuję... A potem, gdy zamieć, ucichła wywiodłem ją na drogę do miasta... I cóż: wydała mię! Pewnie pochwaliła się cudownem ocaleniem... A brat albo ojciec domyślił się, że to ja, połakomił na nagrodę i dał znać do policyi... Schwytano mnie...

Umilkł, brwi najeżył i brodę gwałtownie w garść schwycił.

— Jużem potem nigdy nie był głupi, he, he!

Biała szrama na czole znowu napłynęła mu krwią, broda i kudły na ciemieniu zaruszały się jak srebrne jeże, rozdarte nozdrza zadrgały jak skrzydła potwornego chrabąszcza.

— Coś nie idzie twój stary... Nie udała mu się pewno strzelanina... Późno!..

— Owszem — idzie!..—odrzekł Wiktor, nasłuchując.

Na drodze niedaleko mięko człapały postoły, cicho wtórzyły im uderzenia kosztura. W ciemnym otworze drzwi ukazała się wyleniała futrzana bermyca Wasylicza, a następnie i cała jego postać, podobna do kupy szarych łachmanów.

— A niech im Bóg da zdrowie!.. Uszanowali należycie. Nadawali więcej, niż trza... Doskonałej wsi stróżujesz, stary... wybornie... doskonałej wsi. Sam nie oceniasz, jaki masz skarb!... Wszystko jest, wszystko w przenajlepszym porządku... Widzieliście?!

Wyjął zza pazuchy dwie butelki wódki i miłośnie, pieczołowicie je na boku postawił. Roztkliwiony stróż przeżegnał się bogobojnie, wziął kociołek i, nie zwłócząc, ruszył po wodę do nocnej uczty.

Tymczasem Wasylicz wyciągał resztę zapasów: kołacze, piero-

gi, placki — i rozkładał je przy ogniu. Był tam nawet cukier i herbata.

Podjedli sobie, napili się herbaty i dopiero wtedy sakramentalnie otworzyli butelki. Stróż nie mógł ukryć wzruszenia, chrząkał jak stara kaczka, oczekując poczęstunku...

— Pij, chlaj, stary!.. Znaj prawdziwych włóczęgów! Pewnie dawno nie miałeś takiej gratki... — puszył się Wasylicz, podając mu wyszczerbioną filiżankę.

— Skąd zaś! Tego, co przejezdni dają, starczy ledwie na szmaty... A i jacy tutaj przejezdni... Samo chłopstwo nieubrane. A gmina nietylko nic nie płaci, ale jeszcze odemnie myta prosi. „Bogacisz się!“—gadają... To dla was tylko, tułaczów oni serce mają... Ano i o „kogucie czerwonym“ też pamiętają... A ja co?! Dokąd się podzieję!.. Nogi, ręce nie służą... oczy nie dowidzą... uszy nie dosłyszą... Gniję na miejscu.

— Cóż, Ignac, zmarkotniałeś? Na, bierz i ty! Napij się... A co się tyczy portek i koszuli... to nie dostałem ich... Będziesz jeszcze musiał w swej pochodzić liberyi... — dorzucił Wasylicz, łypiąc swawolnie oczkami.

— Gdybyś zamiast dwóch butelek kupił jedną, toby na koszulę starczyło... — odrzekł niechętnie Szumski.

— Co?.. Słyszana rzecz? Toż to nie wiesz, człowieku, że prawdziwy włóczęga z siebie zedrze a przepije... Nieee!.. Ty, widzę, ptak.... ptak, ale z nieznanego kraju i „chamło“ to ciągniesz, jakby cię ząb bolał.

— Nie martw się! — pochylił się dobrotliwie stróż ku młodzieńcowi. — Nie martw się... Jutro ja cię skieruję tu do jednej żołnierki, co cię za jedną noc pobytu ustroi... jak z morskiej piany wydmuchnie!.. A i sama baba niczego... szero-o-oka... rozłożysta!..

— Ho! ho! A może i mnie starego przy tej okoliczności nakarmi i napoi... — śmiał się Wasylicz.

— To się wie! Za ogiera i to rubla płacą...

— Ho!.. ho!.. ho! Słyszysz, Ignac!... Kapitały zbierzemy, jak dobrze pójdzie!

Szczerze śmieli się, otwierając szeroko czarne paszczęki i jeżąc siwe brody, tak że ginęły w nich doszczętnie i skurczone, pokiereszowane nosy i zmrużone, zaropiałe oczy i sieć zmarszczek potwornych, ryjących im twarze.

Szumski zcicha gwizdał, aby ukryć zmieszanie.

„Powiernuwsia ja z Sibiru,
„Nima mene doli,
„A zdajetsia nie w kajdanach,
„Jednakże w niewoli...“

Zaśpiewał nagle stróż głosem ochrypłym, nadpękniętym — jak z rozbitej beczki.

— Cichaj, cichaj! Ty nie umiesz, ja ci zaśpiewam Kainową — przerwał mu Wasylicz i, zasłoniwszy oczy ręką, kołysząc się z boku na bok, zawył żałośnie:

To nie trawka się kołysze pośrodku pola,
To kołysze się moja niedola,
Moja bezdomna głowa zuchwała!..
W bory się rzucił mołojec żwawy,
A już po borach stały zastawy,
I już straż nocna czujnie czuwała...
Pyta o pasport, o drukowany,
Z tłoczoną w laku krwawą pieczęcią,
Na białe ręce kładzie kajdany,
Zawiera wrota mocną wrzeciędzą...

. . . .

— Na, bracie!.. Siulim! — częstował go stróż, który wszedł nagle w rolę gospodarza, razwraz nalewał drżącą ręką filiżankę, sam pił i śpiewakowi podawał.

— Haim, bracie! A teraz razem! O carze, o Iwanie...

Podparli policzki dłońmi i, pochyliwszy głowy na bok, zawodzili cieniutko:

„Bili zucha, bili na pręgierzu,
Na perłowym bili go rozstaju,
W noworoczne bili go mroziska
Żelaznymi bili go prętami...
Stoi siłacz, ani się poruszy,

Ani zadrżą mu kręte kędziory...
Ino z oczu płyną łzy gorące...
I podjeżdża doń car prawosławny,
Prawosławny car Iwan Groźny...
Nie złota zagrała to trąbka,
I nie srebrne zagędźbiły rogi,
Ino ozwał się car Iwan Groźny...

Tak podśpiewywali sobie, częstowali się wzajem, przechwalali się, wymyślali sobie, swarzyli się... O Szumskim zapomnieli zupełnie. Wreszcie pobili się. Chwycili się za brody, zwarli łbami w cichości, jak dwa omszałe pnie, i potoczyli się w samo ognisko. Wiktor skoczył i w porę ich rozłączył, gdyż nad przyduszonym do ziemi gospodarzem już błysnął nóż w garści włóczęgi. Gdy Wiktor nóż mu odebrał, wściekły stary rzucił się nań z kolei i powalił, chwyciwszy za nogi...

— Puść, puść, a to cię wydam!.. Ścierwo... polityku... Myślisz, że nie wiem, coś za jeden?!... W pierwszym powiecie cię sprzedam, judaszu!.. Carobójco! Nie oszukkaszsz!.. — syczał włóczęga, starając się schwycić młodzieńca za gardło. Wreszcie padł zmożony przezeń, zachrapał nagle, jak konający, i usnął w mgnieniu oka.

Wiktor podniósł się na klęczki, odetchnął chwilę, rozplątał włóczędze pod gardłem zawiązki, zdarł zeń koszulę, poczem uniósł ją w ręce przed ogniem... Łachman zagrał krwawo, jakby skąpany w posoce... Młodzian wzdrygnął się, spojrzał na chude, czarne, pocięte bliznami od rózeg ciało włóczęgi i w zamyśleniu znów go pieczołowicie nakrył zdartą zeń szmatą. Odsunął nogą nóż, siekierę, torbę z chlebem, leżące na drodze, i wyszedł nazewnątrz nagi, jak wszedł.

Jakby nabrzmiała od natężonego blasku pełnia księżyca zalewała zielonawą poświatą dalekie lasy, pola i wieś, ku której zawrócił Wiktor. Czarne cienie chat kładły na drodze nierówny łańcuch wielkich kanciastych plam. W ucichłych budynkach, białych od miesiąca, jak przepalona kość, błyskały matowo ciemne okienka, niby ślepia szczelnie przywarte powieką. Zamknięte drzwi nieufnie strzegły progów. Z za płotów, z za wrót, z dalekich zacieniów gumien w miarę, jak je mijał, cicho, leniwo ujadały rozespane psy.

Wiktor, idąc środkiem ulicy, pilnie spoglądał na obie strony, na

małe półeczki podokienne. Wreszcie w ostatniej chacie dostrzegł na jednej z nich drobne, czarne przedmioty... Podszedł i schwycił je łapczywie... Były to słynne sybirskie „sawatejki“ z czarnej, jak ziemia, mąki, umyślnie wypiekane przez oszczędne gospodynie dla włóczęgów... Wydało mu się, że w głębi okna w chacie zamajaczył jakiś cień, więc zastukał ostrożnie... Istotnie poza szybami zabielała brodata twarz chłopska... Wiktor ukazał mu giestem błagalnym swe nagie ciało.

— Koszulę!..

Chłop znikł, po chwili wrócił i pokazał mu siekierę...





WACŁAW MAKOWSKI

Na temat „Dziejów Grzechu"

II

Najsilniejsze zpomiędzy postaci tragiedyi „Dziejów Grzechu" to dwie odbijające od reszty, to dwaj przedstawiciele zła bez obłudy i bez pozorów: to Pochroń i Płaza—Spławski.

Cham Pochroń ma chamską siłę; to jest ten żebrak, który przestał wyciągać okaleczoną rękę, a ujął nóż, przestał jęczeć, a począł zabijać. Płaza to jednooki filozof zła, filozof praktyczny, który jednak zanadto jest wytworny, by sam miał teoryę swoją w czyn wprowadzać: woli używać brutalnej siły Pochronia. I to są jedynie dwaj ludzie zdolni do wprowadzania woli swojej w czyn, dwaj, którzy posiadają siłę realizatorską. Ale i ta siła jest bardzo względna. Idzie ona w kierunku małego stosunkowo oporu. Nie potrzebuje walczyć, zdobywać nic, nic tworzyć. Zrodziła się ona nie wbrew nakazom życia, ale właśnie z tymi nakazami w zgodzie. Nie występuje ona przeciw życiu, ma tylko dość odwagi, aby konsekwencye życiowych założeń doprowadzać do końca, nie cofać się przed niemi i, kiedy trzeba, w czynie je uzewnętrzniać, choćby czyn ten był tylko zwyczajną zbrodnią.

Zapewne—jest to siła, ale ta pośledniejsza, siła mięśni, sprytu, pospolitych żądz, które żyją zarówno dobrze w Szczerbicu i Bodzancie; tylko Szczerbic będzie je niedość wyraźnie tłumił, Bodzanta—zadawal-

niał w tajemnicy, Pochroń i Płaza—otwarcie, przemocą, bez maski. Toteż, gdy Płaza odnajdzie Ewę u Bodzanty, Ewa pójdzie za cynicznym Płazą, bo wszak treść ta sama, a kto wie, czy nie bardziej obmierzłym jest pozór kłamany, jest słabość wstydząca się siebie, niż bezwstyd siły —choćby brutalnej.

Tą siłą Pochroń i Płaza zagarną i przywiążą Ewę, a choć będą ją mierzić ich płaskie instynkty, ich brudne ręce „z czarnymi pazury", choć będzie chwilami próbowała ucieczki, to dokądże pójść ma? Z objęć Pochronia w objęcia wszystkich ojców rodzin, urzędników, nawet księży miasta Kielc; z łoża Pochronia w łoże Bodzanty. Wybór zaiste niewielki.

Pochroń ją będzie bił. Ale czyż nie jest gorsza moralna chłosta, jaką przeżyć musi dzięki Łukaszowi, nie gorsza ta świadomość, że popełnia obłudną zbrodnię przeciw ideałom, kiedy się oddaje Bodzancie, nie gorsza nawet ta zewnętrznie tak odmienna propozycya Szczerbica, w gruncie tak samo chłoszcząca, wyrzucająca poza społeczeństwo, piętnująca nazawsze—? A wszystko to upowite kłamstwem niedołężnego poddawania się, ustępowania przed życiem. Pochroń w niczem od nich nie gorszy, tylko śmielszy i konsekwentniejszy, silniejszy.

Więc cóż — apoteoza zbrodni, bo ona sama jest silna? To prawdopodobnie nie, ale napewno szukanie mocy, i może stąd wniosek rozpaczliwie smutny, że niema na ziemi, w ludziach mocy krom w zbrodni, że niema takich, coby życie do swojej woli słonecznej nagiąć potrafili, a jeśli są silni, to tylko brutalnej krzywdy życiowej zbiry.

Szukanie mocy —

Bo gdyby Łukasz nie był kłamał, mówiąc o swojej sile, gdyby był silny naprawdę, to nie stałby się życia igraszką, a Ewa nie stałaby się kwiatem więdnącym w jego ręku. Jakby postąpił Łukasz silny: czy siła jego polegałaby na wstrzemięźliwości, na cieszeniu się wonią róży na pniu, czy może potrafiłby wespół z Ewą, inną, silną Ewą, pójść wbrew niedającym rozwodu żonie i Rzymowi, wbrew ludzkim przesądom i społecznym kajdanom, stworzyć sobie własne życie, takie, jakiego pragnęli oboje—? Tak lub inaczej dramat by się nie stał, Łukasz, mocny człowiek, nie jęczałby, leżąc w szpitalu po pojedynku, nie kradłby rękopisów w Watykanie, nie czyniłby wielu, bardzo wielu rzeczy z tego, co uczynił Łukasz kłamiący przed sobą i Ewą, i społeczeństwem,

i żoną, i Rzymem. A wtedy i jego i Ewy życie poszłoby innym torem, i nie staliby się niedołężnemi ofiarami przypadku, zbiegu okoliczności, nieprzewidzianych poszukiwań wzajemnych po Europie i t. d. i t. d. Nie byłoby bladej i anemicznej miłości Łukasza, chwilami rozpalającej się żądzą, nie byłoby szalonych, rozpaczliwych dni męczarni Ewy na przedmieściu Lublina, tej całej bezradnej walki, kończącej się przerażającym momentem zabójstwa dziecka, nie byłoby tego wszystkiego tragicznego splątania wypadków, tej całej niedoli i krzywdy.

Gdyby silna była Ewa, nie byłaby zapewne, jak kwiat, czekający tylko na rękę, która ją ma zerwać dziś czy jutro, potrafiłaby znowu do siebie i woli swojej nagiąć życie i stać się czemś więcej nad kochankę Pochronia i „sekretną nałożnicę Bodzanty"; nie miotałyby nią fale życia bezwolną i bezradną, nie byłoby tragiedyi.

I gdyby silny był Szczerbic, potrafiłby wywieść Ewę z tego stanu, w jaki po katastrofie z Łukaszem popadła, a czyby uczynił ją swoją kochanką, żoną, wszystko jedno, czyby ją wziął i przywiązał nową, może nie taką jak pierwsza, ale ostatnią rozpaczliwą miłością, — czyby ją otoczył przeczystym i przeanielskim powietrzem samych lilijnych i świętych ekstaz, potrafiłby ją wzmocnić siłą ze siebie płynącą i stworzyć nową Ewę, Ewę żywą, nietylko pragnąć i nie módz wyssać resztki słodyczy z więdnącego kwiatu. A dramat, jeśliby był, to zcichłby wobec potęgi pełnego wzrastającego życia, co żywicznym sokiem zasklepia dawne rany.

Gdyby silny był Jaśniach, gdyby umiał sam nad swoją wolą panować, nie podnosiłby na siebie samobójczej ręki, i nie byłyby może płonnem tylko rozmyślaniem jego marzenia o ludzkiej szczęśliwości, o tępieniu kołtuństwa, a Ewa przy nim nie byłaby tylko znudzoną, wreszcie przypadkową szarytką, potrzebną do spełniania posług przy chorym: stałaby się człowiekiem żywym — i jeszcze był czas do przełamania tragiedyi.

A nawet czas był i na Majdanie, gdyby był silny — Bodzanta. I nietylko stosunek tych wszystkich ludzi do Ewy, ale cała ich epopeja życiowa układałaby się inaczej, i całe życie inne by było, krzywdy by nie było w życiu, nie byłoby „grzechu" ni tragiedyi z tego „grzechu" płynącej.

Na tle ogólnej krzywdy życia, jak zarażającej powietrze gruźlicy, przenikającej wszędzie, wciskającej się we wszystkie szczeliny, gnojącej płu-

ca ludzkie i dusze ludzkie,—na tle tego życiowego gnojowiska rozgrywa się tragiedya ludzi słabych, i niemasz wokrąg innych ludzi prócz słabych, bo nie są wyjątkiem z ogólnej niemocy dwaj bandyci, bo i oni są zasłabi na to, by stać się czemś innem, by życie do siebie, nie siebie do wymagań życia, naginać, i, mając siłę działania, są natomiast najsłabsi ze wszystkich wolą opanowania życia.

Czy to wypadek, czy wynik świadomej tezy? Chyba to drugie. A jeśli tak, to teza będzie brzmiała zapewne: słabi są ludzie wszyscy, słabe są Ewy, i słabość ich prowadzi do „grzechu", słabi są Łukaszowie, Szczerbice, Jaśniachy, Bodzanty, Pochronie, Płazy — i słabość ich tworzy karykaturalną, niedołężną tragiedyę, żebraczą nędzę życia: jęczą miast zabijać, a jeśli zabijają, to tylko z niemocy, z lęku, tylko podstępem i tylko żeby się czegoś pozbyć, nie żeby coś stworzyć.

Taka jest naga myśl, wydobyta z pomiędzy pasma przepysznych obrazów, od podwórza warszawskiej kamienicy, od przedmieścia brudnego Lublina, do słonecznych nadmorskich skał Monte Carlo i śpiewu fal morskich na brzegach Korsyki, skąd widać zdala we mgle, jak chmurę, jak obłok, Elbę, tę samą, co się stała widmem Napoleona, wielkiego i silnego człowieka.

Kiedy Ewa przyjeżdża z Jaśniachem na Korsykę, kiedy musi przed nim swój „grzech" wyjawić, kiedy mu powtarza: „Ja... zabiłam własne dziecko", Jaśniach mówi jej:—„Patrz, Ajaccio... Tam się w ciasnej uliczce urodził Napoleon, którego niedościgły Hoene Wroński nazywa „człowiekiem całej kuli ziemskiej". Pomyśl, ilu on ludzi zamordował, aby spełnić swe dzieło. Podnieśmy się ku niemu — i patrzmy mu prosto w oczy nieustraszoną źrenicą. Stańmy się jego następcami z ducha". A indziej, patrząc w mgławe zarysy wyspy majaczącej nad połyskliwą grą morskich fal, powtarza Ewa słowa tegoż Napoleona: — „Hasło nasze Elba" — mówi na znak nowych życiowych dróg, na znak rodzącej się w niej żądzy czynu, tęsknoty za siłą, mocą, zwycięstwem — Mówi tylko. Czynić nie zdoła, parę nieudolnych, w zarodku przez niemoc stoczonych wysiłków, to wszystko, na co się zdobędzie — Ale hasło rzucone pozostało dla nas — pozostało jako wytłumaczenie tragiedyi.

Dziwne, jak zdawna pokutuje Napoleon w literaturze naszej, jako symbol bohaterstwa, mocy, realizatorskiej siły; nie mieliśmy takich u siebie—przyniósł go do nas Mickiewicz, wyidealizowanego, podnie-

sionego do półboskiej potęgi. Dziś Żeromski razwraz cytuje Mickiewicza, czy to w słowach Jaśniacha czy Bodzanty, marzyciela czy nieudolnego realizatora Mickiewiczowskich wskazań, za nim podnosi i symbol Napoleońskiego bohaterstwa. Już przedtem pokazał go nam w „Popiołach" tchnącego tajemniczą siłą, wznowił teraz w symbolu. Ludzie, bądźcie Napoleonami swoich marzeń, — powtórzył za Mickiewiczem.

Temu wolno było mordować ludzi, bo on był mocny, on tworzył, on mordował, aby spełnić dzieło, ale niewolno mordować Ewom ni Pochroniom, bo oni nic nie tworzą, ich zbrodnia jest grzechem, grzechem niemocy, poddania się, lęku. Tylko o takim grzechu może tu być mowa; błądzą ci, co szukają w powieści zagadnienia grzechu, na sposób średniowieczno-chrześciański postawionego. To problem dawno przebrzmiały, i płytki problem chrześciańskiej czy deterministycznej doktryny filozoficznej: ta doktryna czy inna to wszystko jedno, chodzi o życie, tego życia całą rozciągłość i głębię, a ta się w onych doktrynach nie mieści.

Ksiądz mówi: „Grzechem jest zły czyn człowieka. Grzech jest obrazą Boga". I ksiądz ma racyę, bo czy nie jest złym czynem i grzechem słaby, niedołężny idealizm Bodzanty, czy nie jest złym czynem i grzechem wyszrubowana przez żądzę szlachetność Szczerbica; czy nie jest grzechem i obrazą Boga każdy z tych czynów tak mało w sobie twórczej boskości mający, — czynów, które pełnią na każdym kroku wszystkie osoby tragiedyi? Chyba jest.

Więc mniejsza o doktrynę, o określenie, chodzi o samą życia i czynu istotę, a tą jest twórcza, realizatorska moc. A wtedy jakkolwiek będziem nazywali czyny, to nie zmieni ich istoty i skutków: wielkie i mocne będą tworzyły i zwyciężały, małe i niedołężne będą „grzechami".

I stąd jeśli spojrzymy na całość dzieła Żeromskiego, to poza prawdą i głębią psychologicznej analizy dusz człowieczych zobaczymy w tych duszach coś niby symbole, symbole życiowej niemocy, życiowej krzywdy. I to ciężkie, rozpaczliwe, beznadziejne przygnębienie, które szło na nas z tych kart, kiedyśmy patrzyli na pokalanie Ewy, pryśnie.

Zdawało się zaprawdę, że niema wyjścia, że życie musi zdławić człowieka, „że człowiek przed losem swym próżno ucieka", że jakaś

fatalność prawie grecka prześladuje i z nóg zwala. Tak się plątało wszystko dziwnie po to, by Ewę zniszczyć, tak szło za nią nieszczęście, jak szatan, tak załamywało każdą jej ścieżkę.

Straszne byłoby to i rozpaczliwe, gdyby szło z jakiejś poza człowiekiem istniejącej siły wrogiej, szatańskiej po średniowiecznemu.

A jeśli to leży w człowieku, jeśli przyczyną zła—niemoc człowiecza? To wówczas—„Hasło nasze Elba!"—„Stańmy się jego następcami z ducha". Bądźmy Napoleonami swoich marzeń o szczęściu.

Jest wyjście. Niedola wasza i niedola człowieczeństwa z niemocy płynie. Obudźmy siłę w sobie. Bądźmy własnego losu i losu świata tworzycielami, kowalami form, a zwyciężymy życie, i szczęście samo przyjdzie do naszych stóp. I nie będzie dramatu Ewy, ni dramatu Łukasza, ni Szczerbicowego dramatu, ni Bodzanty przełamań, ni Pochroń nie będzie wspominał swoich bękarcich lat dziecięcych ani etapów więziennych, ni Płaza nie będzie rozkazywał, bo w każdym będzie moc rozkazywania, Pobratyński nie będzie szukał posady, a Horst gnił w knajpie — Nie będzie tego łańcucha dramatów i nie będzie tej tragiedyi życia — Ale do tego potrzeba mocy, napoleonowej mocy realizatorskiej.

I oto z ponurego obrazu, jaki się w „Dziejach Grzechu" roztoczył, wyrasta witeziowa postać zwycięzcy, człowieka wielkiego, wolnego, silnego. Niema go w powieści, nie wystąpił on w niej, bo gdyby zszedł na ten padół, zdołałby go rozjaśnić promienistością swoją, zdołałby gromy nieszczęść odwrócić, ujarzmić, w inne łożysko losy ludzi pchnąć. Ale myśl o nim jest. I z koniecznością narzuca się on *a contrario*. Tak na białym arkuszu papieru kładzie artysta czarne węglowe plamy, beznadziejnie czarne, splątane, chaotyczne, a oto, patrzmy, zpomiędzy tych plam wyłania się postać człowiecza, olbrzymia, świetlana, biała. Myśmy myśleli, że artysta maluje tamte plamy czarne, że one są istotą, a reszta to papier tylko, a stało się odwrotnie.

Po to wystąpiła w powieści krzywda i niemoc człowiecza i klęska, żeby się stać konturem dla nienamalowanego ideału człowieka silnego, zwycięzcy —

Tęsknotą do mocy twórczej życiowej są „Dzieje Grzechu" —



MARYA MARKOWSKA

Z melodyj śmierci

Za liściem liść... za liściem liść...
Wiatr w nagich drzewach gada...
I żenie precz, i każe iść
Melodya listopada...
Za liściem liść... za liściem liść...

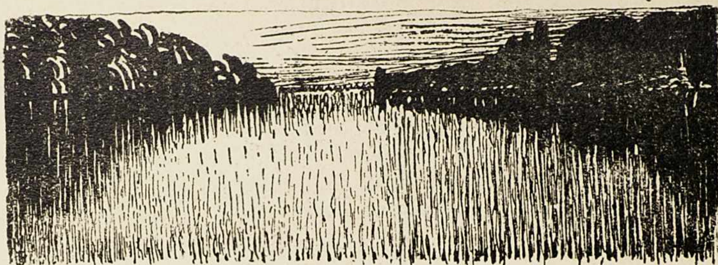
Nic ci już ze mnie... popiół szary...
Pełga iskierka blada...
Kąty zaległy cienie—mary,
Śmierć u wezgłowia siada,
Mądrą źrenicą w duszy próchno
Zaziera... patrzy... bada...
Na skrzypce swojej gra cichuchno
Melodyę listopada...
Za liściem liść...
Za liściem liść...

Nic ci już ze mnie... zewłok lichy...
Już się mgły—płaczki wiodą,
I pacierz szepcą olchy—mnichy
Nad obumarłą wodą...
Chór mroków płynie... słońce zgasło
Za ciemnych borów ławą...
Idzie pogrzebu głuche hasło
Nad łąk pustacią rdzawą...
Za liściem liść...
Za liściem liść...

Nic ci już ze mnie... ostów puchy
Nad osmętniałą skronią...
Szarego ziela pęk ostał suchy...
Ćmy na pogrobne dzwonią...
Zagasło słońce, zgasło słońce
I nocą grób zawarło...
Wybiegły w pola wichry—gońce
Rozpaczać nad Umarłą...
Za liściem liść...
Za liściem liść...

Przysuj mnie, śniegu, śniegu biały,
Na ciche, długie spanie,
Póki wiosennych dni hejnały
Nie zagrzmią: Zmartwychwstanie!





A. S.

W sprawie szkolnictwa

Od szkoły rządowej do szkoły polskiej, którą pozostawił nam w spadku okres wolnościowy, przejście było tak gwałtowne, że rok ubiegły nawet rokiem próby nazwanym być nie może. Umysły całego społeczeństwa były zbyt jeszcze wzburzone przeżytymi i przeżywanymi wypadkami, aby tryby nowej machiny szkolnej prawidłowo funkcyonować mogły. I rok bieżący nie pozwala jeszcze wyrokować o wewnętrznym ustroju naszego szkolnictwa. Nie ulega kwestyi, że znajduje się ono w pierwszej fazie swojego rozwoju, że ma przed sobą długą drogę doskonalenia. Wszakże z doświadczeń, które przyniosło dwuletnie istnienie szkoły prywatnej w Królestwie Polskiem, z całą pewnością wynika jedno: szkolnictwo nasze oparte jest na bardzo kruchych podstawach finansowych, a wielu zakładom naukowym grozi bankructwo. I nic dziwnego. Szkoła prywatna, egzystująca bez pomocy państwowej, jest wszędzie pewnego rodzaju zbytkiem lub ideą: zbytkiem, na który pozwolić sobie mogą wybrani,—ideą, popieraną przez jednostki. Nasza szkoła prywatna nie może być ani zbytkiem, ani ideą: jest koniecznością, jest potrzebą, bez której społeczeństwo cywilizowane obejść się nie może. Tymczasem szkoła nasza ze względu na wysokość wpisowego dostępna jest tylko dla dzieci sfer zamożnych. Więc mniej zamożni rodzice walczą z wysokością wpisów, a rezultatem tej walki jest uwalnianie od opłaty szkolnej ogromnej ilości dzieci. Ta ilość w niektórych zakładach naukowych dochodzi do 30—40%

ogólnej cyfry kształcącej się młodzieży. Rzecz prosta, że taki stan rzeczy zmusza właścicieli szkół do łatania niedoborów kosztem tych, którzy wpisy opłacać mogą, a to prowadzi znowu do podwyższania wpisów. W takich warunkach szkoła prywatna u nas stawać się będzie coraz droższą, a co za tem idzie — coraz niedostępniejszą dla szerszych warstw społecznych.

Zło jest wielkie, a jak dotąd próbowano mu zaradzić za pomocą filantropii. Wieczorki, bale, rauty, koncerty, składki, zbierane przez pisma, — oto wszystko, na cośmy się wobec widma wydalenia, grożącego setkom dzieci, zdobyli. Jak zwykle, zapomniano o tem, że fifantropia w najlepszym razie przynosi pożytek tylko jednostkom. Tymczasem sprawa szkolna jest sprawą całego społeczeństwa, a niema takiej filantropii, którąby przyniosła ulgę *całemu społeczeństwu*. I pewną jest rzeczą, że najszersza akcya filantropijna nie zaradzi złemu. A więc trzeba środków nowych, poważniejszych, potrzeba akcyi zbiorowej, potrzeba woli samego społeczeństwa. Kruchość podstaw finansowych naszego szkolnictwa odczuwają dziś wszyscy i niewątpliwie wola taka istnieje, ale brak jest cementu, któryby te atomy woli skupił w jedną potężną wolę społeczną, brak umiejętnej inicyatywy, któraby pokierowała rozstrzelonemi usiłowaniami i wskazała źródła szerokiej samopomocy. Dla sprawy tej prasa nasza powinna jaknajszerzej otworzyć swe szpalty: każdy głos, każdy projekt, mający na celu skupienie sił rozproszonych, powinien być omówiony i wysłuchany.

Nie mam zamiaru podawać konkretnych projektów, sądzę jednak, że trzebaby powołać do życia jakąś nową sprężystą organizacyę, któraby się porozumiała ze wszystkiemi towarzystwami, mającemi styczność z oświatą, i do akcyi swej wciągnęła jaknajszersze warstwy społeczne.

Trzeba poruszyć ogół.

Inaczej szkolnictwu polskiemu, — i to należy powiedzieć bez ogródek, — grozi ruina. Na stworzenie tego szkolnictwa czekaliśmy lat kilkadziesiąt, upadku jego doczekać się możemy w ciągu lat kilku.





W. LIS

Kto zagraża pokojowi?

Dziwne u nas można zauważyć zjawisko. Prasa nasza nie ma możności zajmowania się polityką wewnętrzną, jakby tego chciała, wskutek czego poświęca do przesady znaczną uwagę sprawom zagranicznym. Tymczasem niema kraju, w którymby przeciętny inteligient tak mało oryentował się w ogólnych tendencyach polityki międzynarodowej, jak u nas. Większość przekonana jest dotychczas, że główną „kwestyą" w stosunkach między różnemi państwami jest antagonizm Anglii i Rosyi, że wszystkie inne sprawy układają się odpowiednio do tego; że zatem, ponieważ „droga do Indyi prowadzi przez Konstantynopol", więc Turcya jest sojuszniczką Anglii, a wrogiem Rosyi, ponieważ zaś król angielski ścisnął obręczą sojuszów swego synowca Wilhelma, więc istnieje naturalna przyczyna do porozumienia Niemiec z Rosyą i t. p. W rzeczywistości pogląd powyższy, jak i wszystkie zeń wysnute wnioski należą w całej pełni do historyi starożytnej, gdyż stosunki lat ostatnich zupełnie odmiennie się ułożyły.

Przed laty trzydziestu kilku można było z zupełną pewnością twierdzić, że interesem życiowym Anglii jest zachowanie Turcyi, jako potęgi militarnej. Miało to dwie przyczyny. Anglia z obawą spoglądała na postępy armij rosyjskich w Azyi środkowej i zbliżanie się ich do granic Indyi. Nie posiadając wielkiego wojska lądowego, nie była ona w stanie obronić swych złotodajnych posiadłości indyjskich, a na wierność ludności miejscowej niebardzo mogła liczyć. Potrzebowała zatem sojusznika, któryby miał to, czego jej brakowało, i we własnym interesie był gotów każdej chwili zaatakować tego, kto jej zagrażał. Takim sojusznikiem była Turcya, której położenie gieograficzne ułatwiało w dodatku zwalczanie armii, mającej prowadzić wojnę azyaty-

ckną. Drugą przyczyną był interes materyalny. Dzięki swemu wpływowi na Turcyę Anglia powoli zawładnęła niepodzielnie rynkiem tureckim. Wszelkie uszczuplenie tego państwa lub wywieranie nań przemożnego wpływu przez kogo innego—było Anglii nie na rękę.

Wojna r. 1877—78 zmieniła znacznie postać rzeczy. Turcya została pobitą i osłabioną. Straciła ona przytem znaczne terytorya, które wkrótce zaczęły rozwijać swój własny przemysł, odgrodziły się od zagranicy liniami celnemi, lub dostały się pod supremacyę ekonomiczną bliższych sąsiadów. Pomoc turecka przestała mieć dla Anglii to, co dawniej, znaczenie, a rynek jej skurczył się. Miał on się skurczyć jeszcze bardziej, gdy Anglia, nie zadawalając się zabraną przy ostatnim podziale Turcyi wyspą Cypr, zaanektowała tłusty kąsek — Egipt. Ale skutki tego stanu rzeczy nie tak prędko się przejawiły. Od tradycyjnej, w ciągu stu lat prowadzonej polityki niełatwo się odstępuje. I w każdym razie, w braku czego lepszego, Turcya była jeszcze sojusznikiem nie do pogardzenia.

Jednak czas robił swoje. Wewnętrzna dezagregacya państwa tureckiego podniosła się. Pod względem terytoryalnym Turcya traci wprawdzie tylko Kretę, ale od r. 1896 rozpoczynają się rozruchy armeńskie, które, pomimo ciągłych rzezi, urządzanych przez wojsko tureckie, nie ustają. Wkrótce powstaje druga ropiejąca rana — Macedonia. Obie te prowincye wymagały trzymania na stopie wojennej olbrzymiej armii, nie dając państwu wzamian żadnych dochodów. Od kilku lat przyłącza się do nich Yemen arabski, który pochłania rok rocznie tuziny batalionów. Turcya słabnie coraz bardziej, wreszcie staje się widocznem, że utrzymanie tego państwa możliwe jest tylko dopóty, dopóki jego sąsiedzi nie zdecydują się na przekroczenie jego granic. Dawne rachuby na Turcyę stają się powoli zupełnym anachronizmem.

Jednocześnie zaś Anglia coraz częściej zaczyna spotykać się z nowym konkurentem — państwem i narodem niemieckim. I to pod dwoma względami: towary angielskie wypierane są powoli (nawet we własnym kraju) przez tańsze wyroby niemieckie, polityce jej zagrażają Niemcy. Od czasu zaś depeszy, wysłanej przez cesarza niemieckiego boerskiemu prezydentowi, szykującemu się do wojny z Anglią, antagonizm ten staje się ostrym. Przypatrzmy mu się bliżej.

Zacznijmy od spraw ekonomicznych. Anglia spotyka się z kon-

kurencyą niemiecką w Chinach, Rosyi, Turcyi — jeżeli weźmiemy tylko większe rynki zbytu — oraz wszędzie. Produkt niemiecki jest zwykle tańszy, przemysł rozporządza olbrzymią armią ajentów, pracuje z wytężeniem wszystkich środków pomocniczych—państwa, nauki i t. d. To jednakże nie przesądzałoby kwestyi. Niemcy dotychczas w poważny sposób nie potrafili zaszachować Anglików. Weźmy dla przykładu Turcyę, na którą państwo niemieckie wywiera wielki wpływ, szczególniej od r. 1898, gdy cesarz Wilhelm, podczas podróży do Stambułu i Jerozolimy, wystąpił otwarcie, jako protektor islamu.

Eksport niemiecki do Turcyi wynosił (dane bierzemy z urzędowego Rocznika Statystycznego państwa niem. za r. 1903):

W r. 1899	—	32,6	milionów marek.
„ 1900	—	34,4	„ „
„ 1901	—	37,5	„ „
„ 1902	—	43,3	„ „

Rośnie on zatem bardzo szybko, ale nawet teraz nie da się porównać z eksportem angielskim. Podczas bowiem, gdy w r. 1316 (po europejsku 1900—1901) Niemcy wywieźli do Turcyi za 65 milionów piastrów, to anglicy—za 831 mil. p. („Gospodarka światowa“ *E. v. Halle*, r. 1906), co stanowiło przeszło $^1/_3$ całego eksportu do Turcyi (wynosił on w tym roku 2 miliardy 384 miliony p.). W wielu innych krajach zauważymy podobny stosunek. Konkurencya niemiecka jest zatem dla Anglii groźna, nie jest to jednak kwestya życiowa. Inaczej wygląda sprawa polityczna.

Od czasu zjednoczenia państwowego kapitalizm rośnie w Niemczech wprost potwornie *). Obecnie jest to machina, która wprzągnęła

---

*) Eksport niemiecki miał wartość:

W r. 1893	—	3.244	milionów marek.
1895	—	3 424	„ „
1899	—	4.368	„ „
1902	—	4.812	„ „
1906	—	6.478	„ „
1907	—	7.120	„ „

Wzrósł zatem w ciągu 15 lat o 3.876 milionów marek (prawie 4 miliardy) czyli więcej, niż o 100%! Jest to wzrost, jakim żadne inne państwo w świecie wykazać się nie może.

do swego organizmu 60 milionów istot ludzkich i całą siłą pary wyrzuca z wnętrza miliardy tonn produktów, dla których, choćby kosztem nadludzkich usiłowań, trzeba znaleść nabywców. Tymczasem rynek wewnętrzny zapchany jest do przesytu i nie może się rozszerzyć bez podniesienia płac roboczych albo obniżenia cen produktów, co w obu wypadkach równałoby się zmniejszeniu zysków. A nagromadzający się wciąż kapitał szuka ujścia, rzuca się zatem na obce rynki i zdobywa je rzeczywiście, ale tylko częściowo w granicach, zakreślonych przez samą istotę kapitalizmu, i z coraz większym wysiłkiem.

Jedynem wyjściem byłoby pozyskanie kolonij, związanych z metropolią unią celną. Byłoby to ulgą tylko chwilową, ale o nic innego dzisiaj przecież iść nie może. Ale byłoby ulgą poważną, gdyż rola kolonij w dzisiejszym ustroju jest daleko większa, niż dawniej. Z jednej strony dają one producentom możność zbywania produktów w dogodnych warunkach konkurencyjnych, z drugiej — każda nowa kolonia to nowy kawałek świata kapitalistycznego. Każda kolonia wymaga postawienia portu, pewnej ilości gmachów publicznych, szosy, kolei żelaznej, a to wszystko równa się szeregowi zamówień w największych i najbardziej łaknących konsumentów gałęziach produkcyi.

Niemcy muszą zatem, jeżeli chcą istnieć, zdobywać kolonie. Tymczasem wszystkie ich próby dotychczasowe skończyły się fiaskiem. Z początku zwrócili oni swą uwagę na Brazylię, przesiąkniętą kolonizacyą niemiecka. Ale Stany Zjednoczone wyraźnie oświadczyły, że nie dopuszczą ani do zdobywania przez państwa europejskie jakichkolwiek posiadłości w Ameryce (doktryna *Monroego*), ani nawet do zmuszania państw amerykańskich siłą do płacenia swych długów (doktryna *Drago*). Drugą próbą byl udział w koalicyi rosyjsko-francusko-niemieckiej, która nie pozwoliła japończykom wyzyskać zwycięstwa nad Chinami, a później sprowadziła ekspedycyę do Pekinu i aneksyę Kiao Czau. I tu wkrótce rygiel został zasunięty przez następne zwycięstwa Japonii, które uniemożliwiły rozszerzanie niemieckich posiadłości nad morzem Żółtem i z Kiao Czau uczyniły rodzaj zakładnika, od Japonii zawsze zależnego. Wkrótce potem Niemcy mieszają się do sprawy marokańskiej; między nimi a Francyą o mało nie dochodzi do wojny, poczem następuje sojusz Francyi z Anglią i Hiszpanią, który również rozwiewa iluzye co do możności obłowienia się w państwie maurów. Ostatniem pokuszeniem się o kolonie są intrygi w Turcyi, o których

powiem innym razem, stwierdzając tu, że nie dały, jak i poprzednie, rozszerzenia terytoryalnego.

Pozatem Niemcy zaanektowały wszystko, co leżało jeszcze bez właściciela, ale te różne Kameruny, wyspy Samoa i t. p. nie są w stanie odpowiedzieć potrzebom. Parę cyfr to wykaże. Cały wywóz do kolonij niemieckich wynosił w r. 1902 — 22 miliony marek (wwóz z tych kolonij — 7,2 mil. m.). Najważniejsza kolonia — „Południowo-Zachodnia Afryka"—daje przytułek, po 24 latach rządów niemieckich, 4.899 białym, a koszta jej utrzymania wzrosną w roku bieżącym o 40 mil. marek (dyskusya budżetowa z przed paru tygodni)!

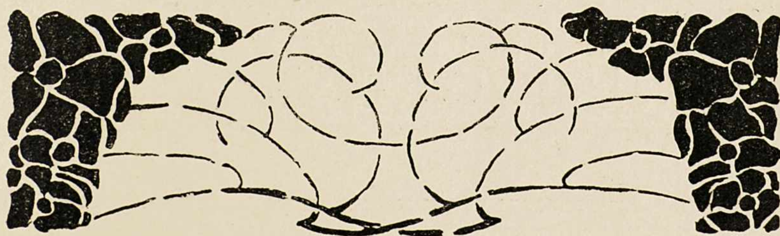
Jednem słowem, historya pouczyła Niemców, że do kolonij dojdą oni tylko drogą wojny, lecz nie na miejscu, ale w Europie prowadzonej wojny, którąby poddała ich władzy jedno z państw, posiadających kraje, niewyzyskane jeszcze przez kapitalizm, lub ochraniających je swą potęgą. To objaśnia nam całą politykę zewnętrzną państwa niemieckiego, to niezrozumiałe napozór szukanie zaczepki z każdym, te mowy bezimienne i telegramy, i listy, które nietylko nie kompromitują ich autora w oczach „wyższych 10.000" społeczeństwa niemieckiego, ale przeciwnie—są wyrazem ich pożądań. Cała polityka wewnętrzna Niemiec, ów blok konserwatywno-liberalno-postępowy, który potrafił odnieść czasowe zwycięstwo nawet nad socyalistami, owo gorączkowe tworzenie floty, która narazie niewiadomo po co istnieje (gdyż koszty jej nie odpowiadają zupełnie dzisiejszym potrzebom) — to wszystko są tylko przejawy życiowej, przez tysiące wielkich fabrykantów, kupców, bankierów odczuwanej potrzeby—potrzeby zdobyczy nowych krajów.

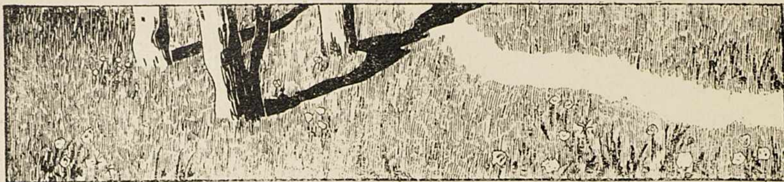
Niedziw, że Anglicy, którzy doskonale o tem wszystkiem wiedzą, zakrzątnęli się około szukania sojuszników. Antagonizm z Rosyą, jako niebezpieczeństwem odleglejszem, zszedł na drugi plan. Przyczyniły się do tego również postępy oręża angielskiego w krajach sąsiadujących z Indyami, które otoczyły tę skarbnicę angielską szeregiem fortec, każdej chwili dla armii angielskiej dostępnych. Najważniejszą zaś zmianę w sytuacyi wytworzyła wojna rosyjsko-japońska. Zawarcie sojuszu zaczepno-odpornego z Japonią dało Anglii to, czego wymagała ona dawniej od Turcyi: wielką armię sprzymierzeńczą, która każdej chwili może i będzie chciała bronić Indyj. Pomoc turecka stała się zbyteczną. Nie należy z tego oczywiście wnioskować, iż-

by ona w danym wypadku nie miala być również użytą, ale w każdym razie dziś Anglia, chcąc powstrzymać zagarnięcie części Bałkanu przez kogo innego, już nie próbuje ratować istnienia Turcyi, ale dąży właśnie do stworzenia tam niezależnych państewek chrześciańskich.

Drugim wynikiem wojowniczej postawy Niemiec było zbliżenie Anglii z Rosyą. Trwanie dawnego antagonizmu zmuszałoby Rosyę, w tym stanie, w jakim znajduje się ona po wojnie, do szukania oparcia u Niemiec. Tego Anglia życzyć sobie nie mogła. Pewność, że Rosya w najbliższej przyszłości nie będzie próbowała ekspansyi na dalekim Wschodzie, zachęcała jeszcze bardziej do takiego zbliżenia. Nie zobowiązuje ono Anglii do niczego, a zapobiega koalicyi rosyjsko-niemieckiej.

Obecnie Anglia jest bezpieczna do pewnego stopnia przed jakowąś niespodzianką ze strony Niemiec. Ostatnie zaś gdzieindziej szukać muszą ujścia dla olbrzymich zasobów energii, które się w nich nagromadziły. W jakim kierunku to nastąpi, o tem można robić tylko przypuszczenia, tembardziej, że nawet dzisiejsza polityka, będąca wyrazem bardzo realnych interesów, jest jeszcze często w znacznym stopniu dziełem wypadku (taki wypadek niedawno, przed konferencyą w Algericas, o mało co nie doprowadził do wojny Niemiec z Francyą). Ale w każdym razie *furor teutonicus* zwróci się prawdopodobnie w stronę najmniejszego oporu, skorzysta ze słabości każdego państwa, które nie będzie rozporządzało potężnymi sojusznikami, związanymi nie traktatem, ale realną życiową potrzebą. Kto będzie tym wybrańcem losu pokaże zapewne niezbyt odległa przyszłość.





B. F.

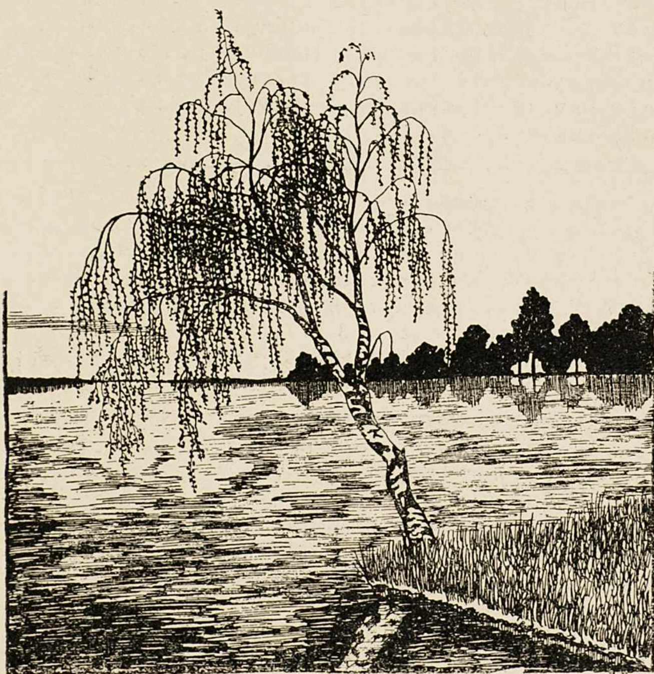
Jan Ludwik Popławski

(wspomnienie pośmiertne)

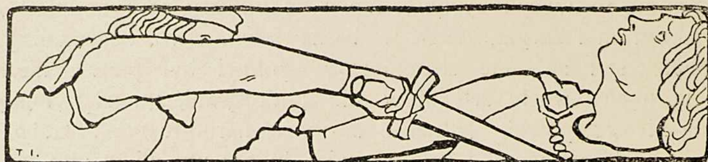
Urodził się 17 stycznia 1854 r. w Bystrzejowicach, gub. lubelskiej; gimnazyum skończył w Lublinie, następnie słuchał prawa na uniwersytecie warszawskim, gdzie jako słuchacz czwartego kursu, zamieszany w polityczną sprawę Szymańskiego, był zesłany do Wiatki. Po powrocie wstąpił do redakcyi „Prawdy". Wkrótce znowu był uwięziony w cytadeli warszawskiej, a po roku 1885 był członkiem redakcyi „Głosu", gdzie działalność swą wraz z ówczesnymi publicystami zwrócił do zapoczątkowania kierunku ludowego. W 1894 r. Popławski znowu dostał się do cytadeli, a w rok później, po uwolnieniu, wyemigrował do Galicyi.

Spory talent publicystyczny, zdolność organizacyjna, energia w przeprowadzaniu zamierzeń — zapewniły mu wpływ w szerokich sferach narodowo-demokratycznych. W Galicyi założył miesięcznik p. n. „Polak" i przezeń wywierał pewien wpływ na lud wiejski. Stworzywszy niemal samodzielnie program narodowo-demokratyczny, rozwijał go w „Przeglądzie wszechpolskim", „Wieku XX-ym" i w „Słowie Polskiem", którego przed powrotem do Warszawy był głównym kierownikiem. Po wojnie rosyjsko-japońskiej powrócił do Warszawy i objął redakcyę „Gazety Polskiej", czyniąc ją organem narodowo-de-

mokratycznym. Chwila jego powrotu przypada na okres jawnej organizacyi stronnictw politycznych. Przywożąc z sobą rutynę publicystyczną i doświadczenie kierownika, szybko zapanował nad umysłami chwiejnymi, niezdecydowanymi, rzucił im gotowy, najwygodniejszy dla nich program i zorganizował w karne stronnictwo nacyonalistyczne. Jakkolwiek stał na czele stronnictwa, ogółowi był prawie nieznany, gdyż licznych swych artykułów nie podpisywał, ani na trybunę publiczną nie wstępował. Jednakże w obozie narodowo-demokratycznym miał licznych przyjaciół i zwolenników, którzy utracili w nim jednego ze swych najwybitniejszych przedstawicieli. Zmarł dnia 12 marca r. b. na raka w przełyku.



MISERICORDIA



(a) W nr. 67 „Gazety Codziennej“ bezimienny autor umieścił bombastyczny artykuł o skażeniu języka z powodu paru rusycyzmów, wyłowionych w drukującej się u nas *syberyjskiej* powieści Sieroszewskiego.

W *Wojnie Chocimskiej* spotykamy wprawdzie jeszcze gorsze, jak *chwost*, *kidać* i t. p., a mimo to dzieło Wacława Potockiego uważane jest za pomnikowe ze względu na język; Mickiewicz pisał: „Kupcze, jedź w miasto“... a w najświeższej dobie „Car Dymitr“ cieszy się wielkiem uznaniem krytyki, choć autor dramatu dla oddania kolorytu epoki i stosunków stworzył jakiś swoisty dyalekt polsko-rosyjski.

Powyższe dane przytaczamy jedynie dla przykładu, nie dla obrony, gdyż znakomity pisarz, na którego napadła „Gazeta Codzienna“, mówi sam za siebie.

Co do nas, to otaczamy takim samym pietyzmem te jego „burlące się wody“, „zawodzące boje zastępy“, jakim się otacza blizny wyżarte okowami na rękach bohatera: są to w jego królewskim języku święte stygmaty walk o „skarby ojczyste“, których uszanować nie potrafi jedynie skrajny bezwstyd truchłopisarka, co sobie targać się na wszystko pozwala.

(jk) „Kuryer Warszawski“ w jednym z artykułów wstępnych ogromnie się cieszy ze związku kamieniczników warszawskich, ponieważ „groził“ nowy strajk stróżów. Stróże, jak wiadomo, niemniej uciskają właścicieli domów, niż Polacy Prusaków. Podczas przeszłego strajku stróżów jeden z nich, ojciec czworga dzieci, mieszkający w norze pod schodami, w domu o jednej małej oficynie, zdołał wywalczyć sobie podwyżkę pensyi z 11 rubli miesięcznie aż na 13.

Istotnie — dobijać się o „fatalną trzynastkę“ może jedynie człowiek pozbawiony już wszelkich skrupułów. Słusznie więc „Kuryer“ czyni, że dzwoni na trwogę...

(zig—zag) Mówi się wiele o niekulturalnem zachowaniu się publiczności warszawskiej na widowiskach publicznych. Jest to prawda; spóźnianie się, brutalne krzyki „głośniej“, nieliczenie się z koniecznością wspólnego nastroju — są to rzeczy rażące każdego przybysza z krajów szczęśliwszych. Ale najczęściej pochop ku temu dają nie rzędy dalsze, publiczność uboższa, ale właśnie ów kożuszek cienkorunny, zwany śmietanką czyli kremem. Histeryczne damy z plutokracyi, tłuste podwiki w brylan-

tach, wywodzące się w prostej linii od Ewy albo Racheli, pogardliwe a przedewszystkiem rozmaite pół-dziennikarki i pół-literatki, uważające miejsce publiczne za swoją szwargotarnię, dają przykład publiczności, jak się zachowywać nie należy. Pierwsze rzędy krzeseł są rozsadnikami bakteryj nieuwagi i złego wychowania. Te damy należałoby „równouprawnić".

(i) W roli pogromcy Marxa w Towarzystwie Równouprawnienia Kobiet występuje p. J. Kurnatowski. Jeżeli mamy wierzyć słuchaczom, wszystko, nie wyłączając wartości, legło w gruzy, skutkiem odkrycia, że „pracą" jest nietylko praca ręczna, lecz i praca umysłowa, jakoteż praca polegająca na wytwarzaniu rzeczy, „których korzyści narazie ocenić się nie da"... Wymowną ilustracyą tworów ostatniej kategoryi był odczyt...

(d) Pan Stefan Gorski wzmiankę naszą z powodu jego artykułu w nr. 11 „Tygodnika" (powtórzonego następnie w „Bluszczu") uważa za „uchybiającą poziomowi poważnej prasy". Jeżeli miarą ma być wyżej wzmiankowany elaborat p. Gorskiego, to zapewniamy go, że pismo nasze do takiego poziomu dostrajać się nie myśli, gdyż w liczbie jego zadań leży także karcenie objawów poniżania godności drukowanego słowa, której p. St. Gr. właśnie w danym wypadku wysoce uchybił.

(c) Pomimo ciężkiego stanu przemysłowców, spowodowanego „zgubnemi wstrząśnieniami", ofiarność ich, gdy chodzi o istotne potrzeby kraju, nie słabnie ani na jotę: za przykładem Łodzi niektórzy fabrykanci Częstochowy uchwalili 16 b. m. przeznaczyć rocznie pewne sumy na powiększenie składu policyi miejscowej i w ciągu trzech dni zakłady Peltzerów, Motte, Częstochowianka, Huta Częstochowska, Stradom oraz Bank Handlowy uciułały na ten cel około 20,000 rubli.

(b) Zapytują naszego „Witezia", dlaczego nie dobywa miecza, by rąbać głowy sprawozdawców odczytowych.

— Azali miecz mój mam pohańbić szatkowaniem kapusty?... — brzmiałaby jego odpowiedź.

(E) W ogrodzie zoologicznym w Schönbrunnie zagłodził się orangutang: nie mógł znieść niewoli.

Omyliłeś się, Darwinie, posądzając człowieka o pochodzenie od małpy...

(jk) Ilekroć pojawi się w pismach hakaty lub czarnej sotni artykuł, przyznający nam jakąś siłę, natychmiast odpowiadają mu z niekłamaną radością ochładzająco - ironiczne wzmianki „Słów", „Kuryerów" i t. p. ugodowo - endecko - niewolniczych organów, które zaklinają się na wszystkie świętości, że my, Polacy, przez wieki wieków będziemy niezmiernie usłużni, pokorni, cisi, przestrzegający „prawa" (np. prawa o wywłaszczeniu), że pragniemy jaknajściślejszej zgody ze wszystkimi, że wszelkie pogłoski o innym u nas nastroju są „bezczelnemi oszczerstwami". Oniby

woleli zamieszkać w wozie. Drzymały miast czemkolwiek te oszczerstwa usprawiedliwić, my zaś tym wozem wywieźlibyśmy ich chętnie tam..... gdzie raki zimują...

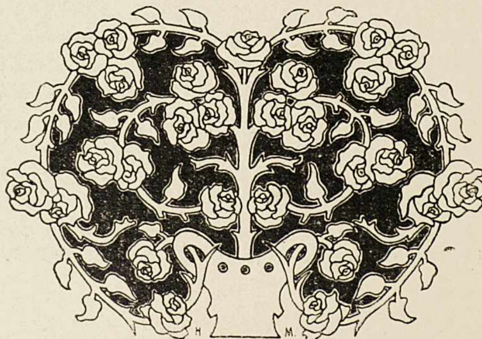
(Prima-Aprilis) 1. Wielka własność ziemska po 10 kop. z morgi, a przemysłowcy, inteligiencya zawodowa, duchowieństwo $1^{0}/_{0}$ od dochodów *netto*—postanowili składać na oświatę ludową, ogółem rocznie, skromnie licząc, parę milionów rubli. Jest więc nadzieja, że szkolnictwo krajowe przestanie żywić się muzyką, tańcami, deklamacyą i wystawą literatów, z których ciekawsze okazy zostały już obejrzane ze stron obu. Z okazyi tak chwalebnej uchwały Kapituła stołeczna wydaje obiad na cześć Redakcyi „Myśli Niepodległej“, p. Roman Dmowski przejdzie się pod rękę z p. Gabryelem Kempnerem wzdłuż całej Marszałkowskiej, a jednocześnie reszta postępu wárszawskiego wyruszy dwoma elektrycznymi tramwajami z okolic Nalewek i Św-go Aleksandra...

2) Ks. Kłopotowski likwiduje swe interesy, by uzyskanym kapitałem obdzielić w równych częściach „Siewbę“, „Zaranie“ i Towarzystwo Kultury Polskiej.

3) W dniu dzisiejszym nie było ani jednej rewizyi, nikogo nie aresztowano, a karetki p. Nowodworskiego (by się konie nie zastały) oddano na usługi członkom skrajnych partyj.

4) W poważnych sferach naszych asymilatorów powstał nowy projekt rozwiązania kwestyi żydowskiej drogą wzajemnych ustępstw, mianowicie: wszyscy żydzi powinni dać się ochrzcić, a wszyscy katolicy — obrzezać: wówczas nikt nikomu nie będzie miał nic do zarzucenia. Słabym punktem projektu jest pytanie: co zrobić z płcią nadobną?...

5) Cała prasa konserwatywna, endecka i lawirująca jest tak dalece zachwycona duchem naszego pisma, a zwłaszcza działem „Misericordia“, że od dnia dzisiejszego postanawia reklamować je bezpłatnie i rozpowszechniać wszelkimi godziwymi, a nawet mniej godziwymi sposobami, — za co, dziękując serdecznie, obiecujemy (a to już naseryo) iść w obranym kierunku coraz dalej — —



Bronisław Bouffałł. Szkolnictwo średnie w Anglii. Warszawa, 1908. Broszura p. Bouffałła ma nadewszystko znaczenie agitacyjne, o czem wymownie świadczą zarówno wstępne uwagi, jak i cały tok rzeczy. Autor zaznacza, że propagując wolną szkołę polską, zerwaliśmy z kulturalnymi wzorami Zachodu, a zamykając w ten sposób młodzieży drogę do wyższych uczelni zagranicą, stanęliśmy wobec grozy cofnięcia kultury naszej o lat kilkadziesiąt wstecz. Ponieważ rzecznicy samopomocy społecznej odwoływali się do praktyki szkolnictwa w Anglii, autor przedsiewziął wykazać, że argumenty tego rodzaju oparte były wyłącznie na nieznajomości rzeczy. Prawda, istnieją w Anglii dość liczne szkoły prywatne, lecz stosunki w nich panujące nie o wiele i dziś odbiegają od wzorów, poddanych chłoście w powieściach Dickensa. Istnieją również szkoły reformatorskie, lecz po bliższem przyjrzeniu się im, ukazują się jako zuchwałe, na bladze oparte spekulacye, będące przedmiotem drwin, a często wkraczające nawet w dziedzinę patologii. Przeważającym zaś typem szkoły jest szkoła publiczna, poddana ścisłej kontroli odpowiednich instytucyj. Rozprawialiśmy szeroko o szkodliwości egzaminów, znowuż powołując się na stan rzeczy w Anglii. Otóż system egzaminacyjny jest tak nadmiernie rozwinięty, że szkoła stała się pasmem egzaminów, zaniedbując nawet właściwe swe zadanie wychowania i gruntowania wiadomości. I jakkolwiek przesadę w tym kierunku wypadło zmniejszyć, niewątpliwie przecież, zdaniem powag i autora, wysoki swój poziom angielska szkoła średnia (publiczna) zawdzięcza właśnie rozwiniętemu systemowi egzaminacyjnemu. Rozwodzono się nad koniecznością zniesienia przywilejów szkolnych, tymczasem w klasycznym kraju wolnego współzawodnictwa i inicyatywy osobistej urzeczywistnia się w postaci zupełnie skrystalizowanej dążność do nadania szkole „praw rządowych" (używając zwrotu, z którym się spoufaliliśmy), i to w takiej mierze, że szkoła średnia zaniechała zadań samoistnych, stając się pepinierką uniwersytetów, przystosowując swe nauczanie do wymagań uniwersyteckich komisyj egzaminacyjnych. Narzekano wśród nas na stopnie, w Anglii oceniają się postępy uczniów według skali stustopniowej. Chciano wprowadzić samorząd szkolny, w Anglii nie mogą pochwycić nawet treści tego pojęcia, gdyż tam panuje jedynowładztwo głównego kierownika. Chciano usunąć kary ze szkoły, w Anglii wciąż duch święty różdżką dziateczki bić radzi i t. d. i t. d. W faktycznej swej części studyum p. Bouffałła, oparte na bezpośredniej znajomości stosunków i na sumiennie wyzyskanym materyale drukowanym, jest z pewnością bardzo cenne i pożyteczne, prostując błędne i rozpowszechnione wśród nas wyobrażenia o stosunkach dalekich. Ale jest zarazem i jednostronne, gdyż zatrzymuje uwagę wyłącznie na stronie organizacyjnej szkolnictwa angielskiego. Jaki jest właściwie wewnętrzny bieg nauczania, do jakich prowadzi wyników, jak się przedstawia moralnie wychowawcza strona szkoły angielskiej — to wszystko są rzeczy, odsunięte na sam skraj pola widzenia, lub zupełnie z pola tego usunięte. Cokolwiek zaś sami możemy wywniować z obrazu przedstawionego przez autora, to wszystko chyba tylko *zrazić* może, nie zaś zachęcić do stosowania wzorów angielskich. Agitacyjny cel tedy jest chybiony. Chybiony jest również i z tego względu, że autor mierzy za zbyt wysoko, nie

posiadając w ręku odpowiedniej broni palnej. Można się zgodzić z nim, że te i owe argumenty, którymi uzasadniano dodatnie strony wolnej szkoły, były słabe, niekiedy nawet niedorzeczne, a powoływanie się na szkołę angielską zupełnie rozmijające się z rzeczywistością; że stan szkoły polskiej jest bardzo smutny, wysoce niezadawalający; gotowiśmy przyklasnąć w całej rozciągłości twierdzeniu, że inicyatywa prywatna nie może w drobnej cząstce nawet podołać zadaniom, które spełnić może tylko organizacya publiczna... Tak, postokroć prawda. Niemniej dziko wprost brzmi zarzut, iż zaniedbano dążyć do „spolszczenia szkoły publicznej z prawami", gdyż obałamucono się pragnieniem stworzenia równoległej szkoły prywatnej polskiej...

Z pewną wyrozumiałością wolno traktować złudzenia ludzi, pragnących z *malum necessarium* uczynić cnotę, jak to się stało z propagatorami wolnej szkoły. Lecz czynić komuś zarzut z nieuniknionego, niezależnego od niego zła — jest to *conajmniej* popełnić gruby błąd logiczny, jest to być tak zaślepionym swą *trzeźwością*, iż realna rzeczywistość jest widziana w kształtach, od realności dalekich. Ta sama trzeźwość, doprowadzona do absurdu, przenika całą osnowę książki, której istotą jest przeciwstawienie tendencyj szkolnictwa angielskiego stosunkom rodzimym. O takiej drobnostce, jak język wykładowy, ani słówka, ani też o takich drobiazgach, jak charakter instytucyj, które mają naginać praktykę szkoły do celów życia publicznego. I jeżeli próba zakończenia strajku, podjęta w połowie 1905 r., nie mogła się udać z powodu zbyt wysokiej atmosfery ówczesnej, broszura p. B. bądźcobądź temu nie zaradzi, gdyż do zjawisk niewspółmiernych tę samą przykłada miarę.

W swej części pozytywnej rozprawka p. B. tchnie wyzbywającym się wszelkich osłonek wstecznictwem. Z jakąż to lubością rozprawia o różnicach między „giętką trzcinką hiszpańską" a „brzozową rózgą"; stosowaną za *ważniejsze* wykroczenia, jak kłamstwo, znęcanie się nad młodszymi, *palenie tytoniu*!.. Jak smakują *trzy krwawe pręgi* od uderzenia trzcinką, które zdarzyło mu się widzieć osobiście... Idealną wydaje mu się rola nauczyciela w niższych klasach, polegająca na zadawaniu i wysłuchywaniu lekcyj. Ma to prowadzić do samodzielności umysłowej. System zaś, nakazujący młodszym uczniom ślepe posłuszeństwo kolegom klas wyższych i dający ostatnim prawo kary (cielesnej), za bezpośredni swój skutek ma rzekomo wyrobienie charakterów niezależnych... Nie mogę wyrozumieć, czy i ten rodzaj praktyki szkolnej służyć ma ku wdrożeniu w młodociany umysł zasady *nieuniknionej odpowiedzialności* za własne czyny, niezależnie od dobrej czy złej woli własnej, od osobistego przywidzenia przełożonych? A wspaniała to konsekwencya! Przewiniłeś — naucz się tylu a tylu wierszy, przepisz tyle a tyle stronic, odsiedź w zamknięciu tyle a tyle godzin! I wszystko to ma być *praktycznem* zastosowaniem *teoretycznych zasad Spencera*, który przecież żądał tego, by kara była *naturalnem* następstwem przewinienia!.. Nie mogę odmówić jednak konsekwencyi autorowi, gdy zaleca stypendyalny system szkół angielskich, opierający się na zasadzie, że nauka powinna być wynagrodzoną, że do przyszłej walki o byt należy popierać jednostki najbardziej do walki tej uzdolnione... Oczywistą jest rzeczą, że system ten nie ma nic wspólnego z udostępnianiem nauki dla mniej zamożnych. Autor jest najzupełniej świadomy *praktycznych* skutków takiej zasady. Spostrzeżono, mówi on, że w wyścigu egzaminowym o stypendya zwyciężają malcy i młodzieńcy, *pochodzący z warstw zamożniejszych*... Frazes o „największem uzdolnieniu",

o „walce“ życiowej jest nieświadomą czy świadomą formą obrony „stanu posiadania“ *sfer zamożniejszych*, jest tendencyą uczynienia z nauki *przywileju klasowego*. Co do zasady *wynagradzania* za naukę, jest ona sama w sobie potwornością, jest zaprzeczeniem kulturalnych zadań społeczności...

Wobec ideałów groszoróbstwa, wobec *trzeźwości*, tęskniącej do *moralnego rządu*, nie zdziwi nas zgoła przeświadczenie autora o głęboko *etycznych* skutkach metod, uprawianych przez szkolnictwo angielskie, ani też niespodzianką nie zabrzmi stwierdzenie *wysokiego* poziomu szkół angielskich, dla których idealnym typem jest młodzieniec, starający się umieć tyle, „aby módz przejść *przyzwoicie* przez wyższe studya uniwersyteckie“. Sądzimy, że ujawniający się w takiej mierze brak istotnego zainteresowania się treścią nauki, traktowanie jej wyłącznie, jako środka karyery, jest naturalnem następstwem wykuwania podręczników, systemu egzaminacyjnego, popartego nagrodami pieniężnemi, i tej bezwzględności praktyki szkolnej, tłumiącej inicyatywę umysłową i niezależność moralną. Następstwo – w zachwyt wprawiające ideologów t. zw. walki o byt, dla których właśnie owa ideologia jest *orężem* w walce... Dla autora zaznaczone cechy szkoły przez niego opiewanej streszczają się w pojęciu „uczciwości umysłowej“! Uczciwością taką jest *przyzwoite* przejście przez uniwersytet!

Koroną broszury jest insynuacya, zawarta w tych słowach: „grozi nam zalew ze strony Żydów, którzy po krótkim okresie gorliwego popierania strajku szkolnego *w celu usunięcia chrześcian ze szkół rządowych*, w bardzo krótkim czasie powrócili do dawnej szkoły rosyjskiej, *skoro tylko celu zamierzonego dopięli*“.

A. Drogoszewski

═══ *N. E. Wolski.* Obrona rodziny. – Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

— Obywatele! — mówił pewien ojciec rodziny, trzymając w ręku książkę powyższą — upada moralność, niszczeją dobre, stare nasze tradycye, zepsuty duch przewrotnych czasów wciska w szlachetne łono podstawy społecznej, wiekami uświęconej Rodziny, gnijące, zatrute pierwiastki! Giniemy, panowie! Ratujmy siebie i dzieci swoje od płynących z Zachodu i Wschodu fermentów! Czytajmy książkę, która jak powiew górski przepędzi grzeszne zaduchy współczesności! Czytajmy Rodziny Obronę!

Jakże dziwnie szanowny autor zaczyna swoje dzieło. Powołuje się na okładce książki na dwóch ludzi i jednego świętego: Solona, Heinego, i św. Augustyna. Zestawienie tych nazwisk niemile razi ucho prawdziwego katolika. Jeszcze dziwniejsza treść cytat z dzieł tych ludzi, np. „...publiczne osoby są narożnemi basztami i piorunochronami, strzegącymi moralności obywatelskich córek“. Cóż to ma wspólnego z rodziną?

— Doprawdy, panowie, jestem zdumiony i nie wiem, czy nie wypadnie mi zmienić nieco wstępu do mojej przemowy —

Lecz ojciec rodziny lubił przeglądać tytuły rozdziałów, zanim zaczął czytać... Oto one: I Nasza twierdza — II Prostytucya przedchrześciańska (no, naturalnie!) — III Obyczajność chrześciańska (bardzo dobrze!) — IV Przedział moralny (?) — V Współczesna obyczajność (?—?) — VI Wolna miłość socyalistyczna (o, to musi być ciekawe!) — VII Wolna miłość niesocyalistyczna (?) — VIII Monogynia. — IX Obrona prostytucyi

(a toż co znowu?!) — X Więc wszystko dobrze? — i... dziwna rzecz... jakaś omyłka druku... nie, cóż u licha to ma znaczyć... przecież jeszcze mam oczy... Napisany najwyraźniej tytuł jedenastego, ostatniego rozdziału: XI *Wskazówki dla uwodzicieli...*

— ...A to paradna historya! A przecież p. Wuk w „Słowie" zachwycał się tą „Obroną Rodziny", a „Naprzód" krakowski ją schlastał, miałem więc nieomylne wskazówki, że książkę tę mogę spokojnie dać w ręce każdej obywatelskiej córce! Czyżby się omylono? W „Słowie" się omylono?! Nie, muszę zajrzeć do tego ostatniego rozdziału.

— Oho, podkreślone zdanie: „*ażeby uwodzący mężczyźni kierowali się pewnemi zasadami moralnemi, mającemi dobro ogólne na względzie*"... Jezus Marya! Pozwólcie, że się przeżegnam... Co to jest? A dalej: „Jak prostytucya warunkuje byt rodziny (wybaczcie, że czytam głośno te bluźnierstwa!), tak byt prostytucyi warunkuje uwodzenie. To ostatnie jest zatem tak samo ważną instytucyą obyczajową"... i... Ojciec rodziny cisnął książkę o ziemię. „Do czegośmy dożyli", obywatele!?

Jednakże jakiś szatański magnes był w tej obronie rodziny... Z drżeniem więc czytał dalej zdania na chybił-trafił: „Czy każde uwiedzenie jest moralne?" „Nie, zależy to przedewszystkiem od sposobu uwodzenia". „Uwodziciel... ma to być uparty kusiciel, słodki grzesznik"... „Gorąca krew, czy obietnica ślubu lub zapłaty, oto jedyne społecznie dodatnie przyczyny upadku dziewczyny"... „Uwodziciele niechaj pamiętają, że sprawują ważną rolę w ludzkości"... „W rozpatrywaniu poszczególnych uwiedzeń jest olbrzymi urok"...

Ponieważ pot mu wystąpił na czoło i oczy zaczęły zachodzić mgłą, więc zaczął od początku. — Ha — może zrozumiem... — szepnął do siebie.

„Chrześciaństwo umiejętnie pogodziło praktyczną dwoistość moralną z teoretyczną jednością"... „Duchowieństwo widzi się zmuszone tolerować cudzołóstwo nietylko jako występek, ale nawet jako prawo („lex primae noctis")". „Kościół, odkąd w swej większości przestał składać się z fanatycznych, dogmatami żyjących ascetów, odrazu zrozumiał tę prawdę" (że „nie wystarcza mężczyźnie jedna kobieta na całe życie, więc stosunki pozamałżeńskie są koniecznością"). „Przyszło mu to tem łatwiej, że ustanawiając celibat dla swoich kapłanów, nie mógł łudzić się, że będą go oni ściśle obserwowali". „Kościół był postawiony wobec dylematu, albo część kobiet oddać zepsuciu, albo wszystkie: i wybrał pierwsze; za to należy się mu nasza wdzięczność". „Swoboda obyczajów męskich nie płynęła z słabości religijnych wpływów moralnych, ale z większej jeszcze nad religię mocy męskiego popędu". „Monogynizm chce obdarować kobiety wiernością mężów, której one często nie chcą, albo nie chciałyby, gdy ją poznały. Toteż rozsądne kobiety nieraz śmieją się pocichu z tych mazgajów"...

Tu ojciec rodziny przerwał czytanie — bo zemdlał i w kilka dni umarł. Nie przeniósł tej myśli, że pochwalił „Obronę rodziny" Wuk w „Słowie".

Książka zaciekawiła mnie. Napisana świetnym, mocnym stylem, z logiką będącą ideałem dyalektyki jezuickiej, dowodzi dalej o konieczności podziału społeczeństwa na klasy, aby uwodziciele nie spotykali uwiedzionych... a więc upadłych kobiet w „swojem" towarzystwie (!), dowodzi moralnej (!) potęgi pieniędzy, zepsucia, jakie wyrodziłoby się zapewne w razie urzeczywistnienia ideału socyalistycznego (o ile wiem, autor pisze w tej kwestyi osobną książkę, w której trzymać się będzie oczywiście innego zgo-

ła poglądu), broni istnienia prostytucyi, rozkazując absolutną pogardę dla wszelkich prostytutek, upadłych i upadających, wreszcie, jak to już wiemy, daje „wskazówki dla uwodzicieli"...

Całe zaś dowodzenie, przeplatane błyskami cynicznych, szatańskich szyderstw i niemiłosiernego dowcipu, opiera się na „niewzruszonej" budowie, w której trzymają się za ręce: religia, własność indywidualna, „skłonność niewieścia ku dziewictwu i jednomęstwu" i... „publiczne osoby"... (rozdział I). Są tam przytem rozsiane cudowne kwiatki myślowe, które w żelazną budowę logiczną całości wsuwają się nieznacznie jak żądła gryzące, kruszące w proch całe dowodzenie, które porywa tych, co nieuważnie czytają... Np. „...wiele rozprzężenia moralnego wprowadził kapitalizm łącznie z demokracyą (!). Ale i kapitalizm i demokracya są dziejowemi koniecznościami, więc... trzeba je przy rugowaniu zła ominąć" (!). Albo takie rozumowanie (o pożądanym podziale klas): bogaci mieliby wiele i to najlepszych kobiet, średnio zamożni mieliby przeważnie po jednej kobiecie. „W klasach niższych stałe posiadanie kobiety byłoby wyjątkiem, może nagrodą za dobre sprawowanie (!).. zadawalaliby się prostytutkami, a gdyby nie chcieli niektórzy" prostytutek... to wśród takich wybrednisiów — biedaków możnaby „zaprowadzić umiarkowany zoofilizm"(!!)...

Jest to jedyna w swoim rodzaju książka. Niewątpliwie potężna, z wielkim talentem pisana satyra, utwór, z którego bije głębokie ujęcie życia, tego bujnego, przebogatego życia, panującego nad każdą formułką, każdą sztuczną zasadą. Wsteczne poglądy doprowadzono tam, dokąd prowadzi je dziejowa konieczność: do absurdu. Rany ustroju dzisiejszego obnażono w sposób nowy i oryginalny. Po przeczytaniu tej książki nikt nie będzie już chciał ich goić nakładaniem różowych plasterków abstynencyi, filantropii, lig czystości i tym podobnych łzawych ćwierćśrodków. To samo bujne życie, które drwi z katechizmów burżuazyjnych „moralności", wywróci istniejące stosunki i stworzy nowe, w których nie będzie miejsca na obłudę.

Jan Kleczyński

═══ *Wacław Grubiński.* Pijani. Dramat w 4-ch aktach. 8-ka mała, str. 149. Warszawa, 1907.

P. W. Grubiński należy z pewnością do nowego pokolenia dramaturgów, tego, które umie bodaj na chwilę wizyę swoją uczynić jedyną rzeczywistością, umie zniewolić umysł i wyobraźnię widza czy słuchacza, wolę jego, samoistność unicestwić. Wprawdzie pierwszy akt — sceny w mieszczańskim saloniku — mógłby być przyczyną niejakiego zawodu, gdyż wlecze się ospale, fanfaronada natur „wyjątkowych" wzbudza nie smak (ktoś tam nudzi się, biedaczek, patrząc na walkę byków i rozszarpywane konie). Lecz naraz wstrząśnienie, i oto w szalonym pędzie migają przed nami transmisye, kółka, tryby całego mechanizmu, chwyta nas nieomal zawrót głowy.

P. Grubiński przeszedł, chciałoby się rzec, dobrą szkołę: szkołę Przybyszewskiego. Nie chodzi nam tu przecież w najmniejszej mierze o jakieś naśladownictwo motywów: w ostatniem dziele, jak u Przybyszewskiego, erotyczne popędy występują w świetle demonicznem. Wszak nie z pierwszym utworem występuje przed nami autor, i wiemy dobrze, że dusza ludzka jest dlań wielościenna. Ale p. Gr. jednakowo prawie, jak autor „Śniegu", ujmuje tragiczność: jako coś materyalizującego się niemal, a nie-

zależnego od swych przygodnych, zewnętrznych osłonek. Ponieważ dusza jest siedliskiem tragiczności, więc zbyteczne jest, nieistotne wszelkie motywowanie, wszelkie uzależnianie kolizyj od kojarzenia się faktów, przyczynowo ujmowanych, i rzeczy, posiadających określony kształt, barwę, wagę. Ponieważ tragiczność w uczuciu się jedynie mieści, więc uczucia, namiętności przychodzą niewołane, niespodziewane, niewiadomo skąd, i wybuchają z żywiołową siłą.. a człowiek, a wola jego to jak lekkie piórko wichrem miotane – to wątłe źdźbło, zdeptane przez nieznaną potęgę... Wobec tego charaktery, realne rysy to zaledwie symbole umówione, według których oryentować się możemy; a sytuacye urągające może życiowemu prawdopodobieństwu, to zaledwie słupy wytyczne, znaczące akcyę. Światło snopami całymi rzucane jest tylko na to, powtarzamy, co jest istotne, co jest absolutne, a otoczenie, akcesorya... to tylko niezbędna pomoc dla widza, to tylko chwilowa materyalizacya niewiadomej jedynie realnej potęgi...

Tylko — Grubiński jest bardziej psychologiem, niż Przybyszewski, lubuje się niekiedy w analizie. Nie jest to przecież — w „Pijanych" właśnie – jego siłą; wrażenie się osłabia, fala wysoko się wzdymająca opada naraz. Zachodzą jakby pewne wahania w miarę tego, jak między osobami działającemi odbywają się zamiany ról (Władysław i Skorowski).

I jeszcze jedna poważna różnica. U Przybyszewskiego człowiek jest niczem, lalką, gdyż potęgi w nim działające są to potęgi kosmiczne. Inaczej u naszego autora. Prawda, że i u niego jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej z duszy człowieka wyłania się jakiś wid przerażający, lecz ten, choć potężny, sam w sobie nie jest koniecznością, bo nie jest cząstką absolutu, nie jest wieczności objawem: jest tylko wcieleniem przypadku, jest potworem wylęgłym w ciemniach duszy ludzkiej, nie dlatego jednak, iżby przepłynął przez nią nurt oceanowy, w głębi swej kryjący tajemne twory. Dusza jest odosobniona, sama w sobie. A włada nią niepodzielnie – przypadek. Nie w tem zgoła znaczeniu — jak zdaje się przypuszcza – (patrz zapowiedź komentarza na ostatniej karcie), że ponury i gwałtowny Karol zastaje swą narzeczoną, gdy jak biedne ptaszę, przez niego zastraszone, tuli się z ufnością do Władysława (brat jego), ale w tem, że ponurość i gwałtowność Karola jest sama w sobie przypadkiem, rzeczą niekonieczną, zbyteczną, jest cegłą, spadającą na głowę, prowadzi do tragiczności zupełnie w tej samej mierze, co nieostrożny strzał, zabijający na miejscu. Zabłąkana kula, jeżeli trafia, ta nawet zwiastuje coś koniecznego, fatalnego — wojnę... Ale wściekły Karol, zabijający Władysława...

Tak, to są wszyscy „pijani", lecz upici czem? Może ta nieświadomość sprawia, że porwani nieraz i zahypnotyzowani zamykamy przecież książkę... dość obojętnie...

Jeszcze słówko o... przygotowywanej „próbie samokrytyki". Czy nie będzie to coś... zbytecznego? Nam powinno starczyć wrażenie – komentarze niepotrzebne. Ale dla samego autora — czy zapowiedziane studyum ma być świadectwem (według naszego mniemania—smutnem), że pomyślawszy dzieło swe, autor zamierzał dowodzić (śladem Irzykowskiego) jakiejś teoryi filozoficznej czy estetycznej? Zobaczymy.

A. Drogoszewski

═══ Jak sobie na wsi radzić w nagłych wypadkach choroby przed przybyciem doktora, i jak się obchodzić z chorymi — opowiedział dla pożytku ludu wiejskiego lekarz *Władysław Wroński* (str. 259).

Książka pisana dla ludu. Język gładki, potoczysty, tu i owdzie przeplatany gwarą ludową. Znać, że autor zna lud, żył jego życiem i rozumie jego potrzeby. Wskazówki lekarskie wypowiedziane zawsze z taką łatwością i prostotą, że zdaje się, jakby to tylko któryś „kmoter" „opowiadali" ze swego rozumu, co mu doktór powiedział. Bogactwo treści ogromne. Mamy nietylko wskazówki, jak postępować w wypadkach nagłych zasłabnięć, ale i bardzo dokładne rady, jak się zachować w chorobach ciężkich i przewlekłych. Autor występuje przeciwko przesądom i starym zgubnym obyczajom, ale nie napada gniewnie, nie grzmi jak ksiądz z ambony, tylko bardzo spokojnie wyjaśnia, do jakiej zguby doprowadzają takie a takie leki; jak szkodliwe jest zbierać się według starych obyczajów przy chorym całej gromadzie ludzi i t. d. i t. d.—Obok licznych zalet książki w dziełku przebija jeszcze jedno. W autorze znać bolejącego nad nędzą ludzką człowieka. Mimowolny ton współczucia i litości znajdujemy cochwila.—Pamiętajcie—mówi autor—że człowiek nieprzytomny, to bardzo nieszczęśliwy człowiek, więc przebaczajcie mu w chorobie wiele, bądźcie cierpliwi, nie krzywdźcie go.—Albo: rozumcie, że obłąkanie to jest wielkie nieszczęście. Nie bijcie waryata, nie róbcie mu krzywdy.—Nie są to cytaty, ale jest to kwintesencya tego, co autor tak często powtarza. Książeczka w oprawie kosztuje 25 kop.

St. L. L.



KSIĄŻKI NADESŁANE

Cezary Jellenta: LINIE HOFERA. Powieść. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa—E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkułł) 1898, str. 223).

Artur Śliwiński: MICKIEWICZ JAKO POLITYK. Kraków. G. Gebethner i Sp. (str. 254).

Kazimierz Rojan-Rosinkiewicz: TAJEMNICA NA DŁONI. (Głos w sprawie reformy szkoły średniej w Galicyi). Lwów. Księgarnia Polska Bernarda Połonieckiego. Warszawa — E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkułł). 1908 (str. 36).

Jan St. Lewiński: CHAŁUPNICTWO — jego istota, teorya, historya i rozpowszechnienie. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. (I. Mortkowicz i H. Lindenfeld), 1908 (str. 48).

Mieczysław Finkelstein: POEZYE. Serya II. Warszawa. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków—G. Gebethner i Sp. 1907 (str. 47).

Anna Niemyska: ROMANS. Kraków. Nakład i druk W. Anczyca i Sp. 1907. (str. 32).

Andrzej Baumfeld: ANDRZEJ TOWIAŃSKI I TOWIANIZM. — Zarys chwili i postaci — skreślił.... W Krakowie. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1908 (str. 73+VI).

Andrzej Baumfeld: SAM NA SAM Z DUSZĄ-KAPŁANKĄ—napisał.... W Krakowie. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1908 (str. 71).

Kazimierz Krauz: MATERYALIZM EKONOMICZNY — studya i szkice—z dodatkiem „wstępu", napisanego przez *Ludwika Krzywickiego.* Kraków — Spółka nakładowa „Książka". Składy główne: Warszawa — G. Centnerszwer i Ska; Lwów — H. Altenberg (str. 291).

Maurycy Hilquit: DZIEJE SOCYALIZMU W STANACH ZJEDNOCZONYCH PÓŁNOCNEJ AMERYKI — z upoważnienia autora przełożył z III wydania oryginału angielskiego *Bolesław Jędrzejowski.* Kraków.—Spółka nakładowa „Książka" (str. 301).

Czesław Wrocki: W IMIĘ KRZYŻA! — Krótki rys dziejów inkwizycyi powszechnej — napisał.... Kraków, 1908. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki (str. 88).

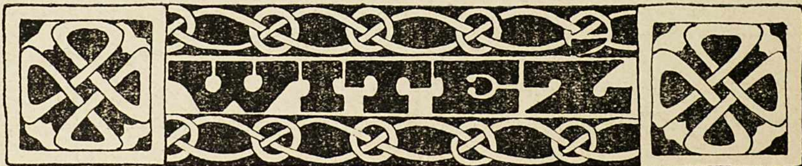
Jan Błeszyński: MAROKKO w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił.... Warszawa, 1908 (str. 151). *Nr. 525 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Stanisław Ostrowski: A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA... Nowela z końca XVIII wieku. Warszawa, 1908 (str. 134). *Nr. 526 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Juliusz Falkowski: WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849 z przedmową *Tadeusza Grużewskiego.* Część I i II. Warszawa. *NN. 527 i 528 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Artur Schnitzler: ŚMIERĆ. Nowela z przedmową *Adolfa Strzeleckiego.* Warszawa, 1908 (str. 125). *Nr. 529 Biblioteki Dzieł Wyborowych.*

Sprostowanie. W zeszycie 4 *Witezia*, w art. „O rynkach", na str. 179, w wierszu 10, wydrukowano: „najryzykowniejszy"; powinno być: „najzyskowniejszy".



Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa.

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa, Nowy-Świat 41.